

## Czołganie się zryw czy sprint?

Dyskusja o studentach I roku

**T**RZY tysiące młodych ludzi rozpoczyna wyższe studia w samym tylko Lublinie. Prawie wszyscy z nich jeszcze w maju byli uczniami szkół średnich. W czerwcu otrzymali dokumenty zwane świadectwami dojrzałości, w lipcu złożyli pomyślnie egzaminy, upoważniające ich do rozpoczęcia studiów. Jaki olbrzymi awans w tak krótkim czasie! Ale każdy awans pociąga za sobą zwiększone obowiązki. Czy i jak podolają tym obowiązkom? Czy potrafią dostrzec i przezwyciężyć niebezpieczeństwa, jakie na nich czekają już na samym progu wyższej uczelni, a potem w salach wykładowych, pracowniach i bibliotekach? Czują się dojrzały, samodzielni, niezależni, a jednocześnie inny system nauki, nowe otoczenie, zupełnie inne niż w szkole średniej warunki — wszystko to powoduje, że niektórzy z nich — zbyt wielu, jak twierdzą dorośli — nie mogą przebrnąć przez pierwszy rok.

Redakcja „Kamena” zwróciła się do kilku pracowników naukowych wyższych uczelni Lublina z prośbą o wzięcie udziału w dyskusji, której celem było znalezienie przyczyn, powodujących tak duży odśwież na pierwszym roku studiów. Naukowcy ci z ramienia swoich uczelni byli opiekunami na pierwszych latach studiów, sądzą więc, że ich opinie — wyrażone nie w sali wykładowej, a w swobodnej dyskusji — przydadzą się tym, którzy rozpoczynają studia.

W dyskusji wzięli udział: doc. dr Wanda Stojalowska — kierownik Katedry Biologii Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej, dr Bohdan Komorowski — wykładowca Katedry Pedagogiki UMCS i z-ca kierownika kursu pedagogicznego dla asystentów, mgr Stanisław Jusiak — wykładowca Katedry Chemii Nieorganicznej UMCS, dr Teresa Jaroszyńska — wykładowca Katedry Botaniki WSR, mgr inż. Mieczysław Krzywicki — dziekan Wydziału Elektrycznego WSInż. oraz Ryszard Duj — student II roku Wydziału Farmacji AM.

Z ramienia redakcji w dyskusji uczestniczyli: członek kolegium redakcyjnego i zarazem wykładowca Katedry Historii Najnowszej UMCS, dr Zygmunt Mańkowski oraz red. Jerzy Dośtański.

W roku akademickim 1965/1966 odśwież (nie zdali egzaminów i odpad (zrezygnowali ze studiów) wynosił: UMCS — 14 proc., AM — 6,5 proc., WSR — 15 proc. Ale na przykład na matematyce (UMCS) — 40 proc., na filologii rosyjskiej — 30 proc., na filologii polskiej — 26 proc.

Dyskusję publikujemy na str. 3.



W lubelskiej dzielnicy uniwersyteckiej...

Pol. Jan Trembecki

W następnym numerze rozpoczynamy druk fragmentów pamiętnika IWANA KONIEWA marszałka ZSRR

## Nasi na celinie

STANISŁAW WINIARCZYK

Już po raz drugi na okres wakacji wyjechali w kierunku Kazachstanu studenci UMCS. Była to jedna z form współpracy z Uniwersytetem im. Iwana Franki we Lwowie. Polegała ona na tym, iż studenci lwowscy pracowali przy budowie gmachu chemii w Lublinie, a nasi wraz z komunistami ze Lwowa wznosili obiekty gospodarcze w sowchozach Kazachstanu. Oto notatki z tegorocznej wyprawy w śród. Autor jest studentem IV roku prawa UMCS.

### 21

**CZERWCA.** Sprawy organizacyjne zostały wreszcie pokonane. Zebrało się 19 osób chętnych do pracy w Kazachstanie.

— Bedzie chyba fajnie — mówi któryś z chłopaków na dworcu w Lublinie, ślad pociągiem udajemy się do Lwowa.

— Wiecie, to będzie nasza najdłuższa podróż w życiu — dorzuca jedna z czterech dziewcząt jadących z nami.

— Cztery doby w pociągu! — zauważył ktoś inny.

Wszyscy są podnieceni. Oczekują, że wyjazd stanie się jedną wielką przygodą.

Przemysł, Medyka. Ostatnie spojrzenie na Polskę, którą zobaczymy za 50 dni.

— Witamy na terytorium Związku Radzieckiego — mówi oficer radzieckiej straży granicznej, wchodząc do wagonu.

— To moja pierwsza odprawa celna — przyznaje Izabela.

— Myślałam, że z przekroczeniem granicy jest więcej ceremonii. Policzone nas tylko, aby więcej nie przejechało. — zauważyła Jasia.

Na dworcu we Lwowie witają nas przedstawiciele uczelnianego komitetu Komsomolu: Święta Spirydonowa i Bogdan Tywańczuk. Bogdan będzie naszym opiekunem w czasie pobytu w ZSRR. W roku ubiegłym zajmował się pracą polityczną na celinie w brygadzie „Płomień”.

Wieczorem spotkanie w gmachu uniwersytetu z władzami Komsomolu. Jest to zarazem pożegnanie wyjeżdżających na ziemie celine. Do tradycji należy, że w przeddzień odjazdu organizuje się uroczyste wieczory. Wszyscy wtedy się bawią i tańczą. Przypomina to odprawianie poborowych do wojska, kiedy przychodzą znajomi i najbliżsi, z akordeonem i pieśnią żegnają chłopaków.

Nas żegnają w szczególny sposób. Jesteśmy jedną z nielicznych grup zagranicznych udających się na celinę. Czy podolamy postawionym zadaniom?

— Najgorzej będzie z pobudką. Ja nigdy tak rano nie wstawałam — mówi Waldek.

— Wszyscy — wyjaśnia Arkadiusz, sekretarz uczelnianego komitetu Komsomolu — muszą przestrzegać reguł zawartych w zbiorze praw i obowiązków studentów pracujących w Kazachstanie. Najważniejsze są przepisy bhp. Postanowienia w tej dziedzinie znaczone były życiem i krwią studentów...

(Dokończenie na str. 4)

Babel — i wstąpiłem z pościeli. Mgła podeszła pod okno i przestąpiła sztachetki. Serce mi się ścisnęło. Tknęło mnie przecucie prawdy...

Nie wiem, jak inni odczytują te słowa znakomitego pisarza radzieckiego. Ja myślę o nich często, mam je pod powiekami, te i wiele, wiele innych króciutkich, przenikliwych, nieujących człowieka, bablowskich mądrych słów.

Oto i macie parantelę, nie było jak: Maksym Gorki i Guy de Maupassant. Mało? Znalazłoby się jeszcze kilku. Chodzi o to, że Babel wypożyzył u tych dwóch tygrysków, w którym sam sobie pitrasił smakolki tak wonne, tak apetyczne, że wywoływały zachwyty największych smakoszy, nawet francuskich gourmand'ów.

Opowiadania Babela rzadko mają happy end, najczęściej kończą się smutnie, tragicznie lub po prostu trwają, gdzieś tam toczą się dalsze ciągi. Autor opowiadał „W suterynie” powiada o sobie: *Chłopak był ze mnie kłamliwy. Brało się to z czytania. Moja wyobraźnia była wściekle rozpalona... Czy to Babel? Sam w autoportrecie? Nie silmy się na rozwiązanie, chodzi raczej o wyobraźnię. Zostałem sam — powiada na innym miejscu — sam z zaciśniętym w rękę zegarkiem i na gło z taką jasnością, jakiej nigdy jeszcze nie doznałem, zobaczyłem unoszące się w górę kolumny rady miejskiej, oswojone listowie na bulwarze, brzojęcą głowę Puszkina... zobaczyłem po raz pierwszy to,*

(Dokończenie na str. 5)

### Ankieta „Kamena” wśród pisarzy (2)

## 50 LAT LITERATURY RADZIECKIEJ

## Nie w loży teatralnej

WALDEMAR BABINICZ

**B**ABEL uważał się za ucznia Gorkiego. — *Należy przypuszczać, młody człowieku — orzekł mistrz po zapoznaniu się z rękopisami autora „Soli” — że ma pan przeblyski talentu, ale nie zna pan zupełnie życia.* Wiemy, że terminowanie i studia w uniwersytetach typu Gorkiego trwały długo, że nie były to seminaria przy stolikach, ani zajęcia w katedrach uczonych. Kiedy po latach wstrząsów, kłesk, zawodów, rozczarowań, po najtrudniejszej wspinaczce zjawiał się ponownie w pracowni Nauczyciela, niepewny, niespokojny, jeszcze bardziej niezdecydowany niż dawniej, usłyszał lakoniczną zachętę: *Zdaje się, że można zaczynać.* I oto nauka, a i przestroga najważniejsza: talent musi iść w parze

z doświadczeniem, ze znajomością życia. Dodam do tego truizm: poznaje się życie nie w gabinecie, nie w pracowni, nie w loży teatralnej czy jakiegokolwiek innej. Gorki pokazał, jak to się robi. Babel zrobił jota w jotę to samo. Czy można mówić o literaturze, nie określając w sposób sprecyzowany jej funkcji? Pytanie w naszej epoce retoryczne i cokolwiek by mówili ludzie, którzy wybrzydzą się na literaturę zaangażowaną, oskarżają ją o naiwną dydaktykę, nie mają racji ci, którzy urobili sobie, jak powiada Zółkiewski, przed kilkudziesięciu laty, kanony i wzory, strzegąc ich pilnie, obojętni na wielkie nury, zapatrzeni w dziwną wizję świata, świata nie istniejącego, w którym rolę bohatera odgrywa człowiek z ubożuchnej powieści Rodziwiczówny. Dopóki nie poznałem Babela, idea-

lem moim był przez bardzo długie lata Maupassant. Chodzi, oczywiście, o nowelistykę. I wcale nie dlatego, że kult do Maupassanta wpoił we mnie znakomity, do dziś ubóstwiany wychowawca, wykładowca literatury Wiktor Ambroziewicz. Maupassant był i dla wielu jeszcze jest niedoścignionym wzorem. Bo i ktoś inny stanął z nim w szranki? Ci wszyscy, którzy go chcieli nam obrzydzić, przypominając, iż w historii choroby wielkiego pisarza figuruje końcowa notatka: „Mr de Maupassant va s'animaliser” (P. de Maupassant przemienił się w zwierzę) nie nie wskórali. Przynajmniej tak długo aż pokazał się na horyzoncie Izaak Babel, który zresztą w świetnej noweli „Guy de Maupassant” niedwuznacznie demonstrował swój stosunek do autora „Horli”. Doczytałem (biografię Maupassanta) do końca — pisze



JOZEF BARECKI

Literatura

3 września otwarto w Kolobrzegu wystawę „Reymont w fotografii, książce i prasie”, odbyła się też setka popularna poświęcona twórczości pisarza. Następnego dnia nowa szkoła w Dębicy otrzymała nazwę im. Reymonta.

W Polsce przebywali znani pisarze angielscy Lord Charles Percy Snow i jego żona Pamela Hanford. M. In. byli gośćmi Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

W setną rocznicę urodzin Artura Opmana wychodzące w Mińsku czasopismo „Literatura i Sztuka” opublikowało nowe przekłady jego wierszy na język białoruski.

Departament kultury UNESCO wydał katalog obejmujący 200 dzieł w 20 językach (18 wschodnich i 12 europejskich), które będą tłumaczone na inne języki pod auspicjami tej organizacji.

Club of the Month — klub książkowy w USA posiada 500 tysięcy członków w różnych częściach świata. Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazał się ostatnio pierwszy tom „Wspomnień ambasadora radzieckiego” Iwana Majskiego w przekładzie Wacławy Komarnickiej.

Książki nagrodzone nie zawsze są najlepszymi książkami roku — tak przynajmniej sądzą znawcy wsłonego rynku wydawniczego. Wyraz temu poglądom dała znana włoska firma wydawnicza Mondadori, która na znak protestu przeciwko niewłaściwym praktykom w tej dziedzinie postanowiła przez rok bojkotować wszelkie nagrody

literackie w Włoszech. Uwaga się, że dwie nagrodzone w ub. roku powieści wydane przez firmę Rizzoli — powieść Michele Prisco „Nigławica”, która zyskała nagrodę Premio Strega, i powieść Alberta Bevilacqua „Niekiedy nazywano to miłością” (odznaczono Premio Campiello) — nie reprezentują bynajmniej wysokiego poziomu.

Sztuka

W przeddzień przyjazdu gen. de Gaulle'a w warszawskim KMPK otwarto wystawę rysunków i akwarel Ireny Stawinskiej „Francia 1967”.

We wrocławskim muzeum sztuki medalerskiej otwarta będzie w połowie listopada wystawa orderów, odznaczonych i medali, wybitnych w ZSRB po Rewolucji Październikowej. Na cześć tej rocznicy muzeum wyda własny medal projektu J. Stasińskiego z Poznania.

Rainy zamku średnio-wiecznego w Radzynie Chotomiński, zabytka kategorii zerowej, zostały odbudowane. Przystąpiono tam do organizowania muzeum, które będzie miało charakter rezerwy architektoniczno-historycznego. Będą tam też urządzenia widowiska „Światło i dźwięk”.

Już w trzecim z kolei mieście szwajcarskim (Lugano) otwarto wystawę „Warszawa wczoraj, dziś i jutro”. XXI sympozjum międzynarodowe w Genewie, organizowane przez profesora tamtejszego uniwersytetu Jana Starobinskiego, odbyło się w dniach 2-17 września. Temat: sztuka w dzisiejszym społeczeństwie.

Po 7 miesiącach wystawa Tut-Ench-Amara wraca do Kairu mimo ofert wielu krajów. Zaledwie ją w Pa-ryżu ponad 1,200,000 osób — w ten sposób został pobity bezwzględny rekord wszelkiego rodzaju wystaw artystycznych. Dochód w wysokości ponad 3 mln franków przez znaczący został na ratowanie świątyn w Abou Simbel.

Młody malarz włoski Giancarlo Vegliante wystawił swoje obrazy w Besancon. Wystawa była czynna bez przerwy w dzień i w noc, frekwencja mniej więcej jednokrotna, w sumie słaba.

W wieku 63 lat zmarł rzeźbiarz Henri Georges Adam, profesor paryskiej Akademii Sztuk Pięknych, jeden z ostatnich w tym kraju tzw. rzeźbiarzy monumentalnych.

Tegoroczny festiwal w Berlinie zachodnim zaczyna się 25 września sztuką S. Becketta „Oh — piękne dni!”.

W miejscowości Aix-la-Chapelle w NRF otwarto muzeum fabularnych kafił do pierdów. Kolekcja obejmuje ponad 80 tysięcy kafił, głównie z XVII i XVIII w., artystycznie malowanych.

Tow. Opiekni nad Zabytkami we Francji organizuje co roku konkurs dla grup studentów, którzy w czasie wakacji pracują przy odnawianiu zabytków. Suma nagród w tym roku 100 tysięcy franków.

Sprawa fałszerstw obrazów wteńskich mistrzów wciąż nie schodzi ze szpalt prasy francuskiej. Nowy skandal wybuchł ostatnio w galerii Romaneta w Paryżu. Grupa specjalistów — handlarzy obrazów amerykańskich i francuskich zakwestionowała autentyczność szeregu dzieł. Znajdowały się wśród nich płótna Deraina, Modiglianego, Legera, Grisa. Sprawa fałszerzanych obrazów zajęła się prokuratura. Specjaliści amerykańscy przybyli do Paryża, by wraz ze swymi kolegami francuskimi uregulować sprawę handlu dziełami sztuki. Porozumienie francusko-amerykańskie powinno pociągnąć kres handlowi fałszywymi obrazami, który kwitnie po obu stronach Atlantyku.

Teatr

Krakowska „Płwnica” po raz pierwszy wyjeżdża poza granice kraju. Na międzynarodowym festiwalu teatrowym w Sztokholmie wzięła udział w konkursie „Płwnica” w ramach programu „7 dziewcząt pod broniami”.

Erwin Axer reżyserował w Amsterdamie komedie Szwajcarskiej „Andriolki i Lew” (scenografia Ewy Starowyskiej). Jerzy Grotowski poprowadził w Sztokholmie kursy dla szwedzkich artystów, a Henryk Tomaszewski wygłosił cykl odczytów w Norwegii.

Słynny paryski teatr Sarah-Bernhardt nie będzie otwarty w tym sezonie. Budynek zostanie kompletnie przebudowany, powiększona sala pomieści 119 widzów, powiększony sceny występi 250 m kwadr., a proscenium 50 m kwadr. W przyszłym roku ma tam być uruchomiony teatr miejski (przebudowa w Paryżu).

Moda na coraz dziwniejsze tytuły sztuk teatralnych rozpowszechnia się. Theatre de l'Épée de Bois we Francji rozpoczęła sezon sztuką Piotra Daki „Wszyscy mamy gniazdo ptaka w głowie”.

Dyrektor paryskiego „Theatre du Palais-Royal” Jean Rouziere w liście do koleżanki z zespołu napisał m. in.: „Nie wiem już jak mam tłumaczyć, że widzowie nie mogą być świadkami waszych szalonych śmiechów na scenie... Nie macie prawa tego czynić. To jest nieuczciwość wobec widzów i waszego dyrektora. Tego nie można tolerować w żadnym zawodzie”.

Znany dziennik włoski „Avanti” zamieścił obszerną informację o teatrze polskim, podkreślając, że teatry istnieją także w małych miejscowościach.

Jedną z najbardziej znanych w Danii aktorek Lisbeth Movin po 14 latach życia domowego wraca na scenę Ny Teater.

Nowojorski „Living Theatre” wystąpił w Paryżu ze sztuką „Sztuka i życie — small pieces”. W ostatniej odsłonie wszystkie aktorki i wszystkie aktorzy umierają i to na sali.

Teatr Cesarski w Tokio wystawił drugą część adaptacji głośnej powieści Margarety Mitchell „Przemienność i wiatrem”. Spektakl trwa 6 godzin. Pierwszą część wystawiono przed rokiem.

Muzyka

W dniach od 7 do 17 września odbył się w Słupsku pierwszy Festiwal Pianistyki Polskiej. W inauguracyjnym koncercie wystąpiła Halina Czerny-Stefańska i Kozłowska Orkiestra Symfoniczna pod dyr. A. Cwojdzkiego.

W dniach 7-16 września odbyły się w Łodzi Trzeci III Dni Muzyki Rosyjskiej w Radzieckim. W inauguracyjnym koncercie wystąpił Opolska Orkiestra Symfoniczna oraz Chór Rogoziński Wrocławskiej PR.

Jeżeli wierzyć informacjom z USA wystąpi Violetta Villa z Las Vegas nadal cieszą się powodzeniem. W listopadzie ma wystąpić w największej sieci telewizyjnej. Najczęściej śpiewa (po polsku) „Do ciebie mam”.

Szostakowicz ukończył nowy poemat symfoniczny „Październik”. Prawkołanin od będzie się w październiku w Moskwie w czasie jubileuszowego festiwalu muzyki radzieckiej. Mają tam być także odegrane nowe kompozycje Szostakowicza do wierszy A. Blok.

Słynna orkiestra symfoniczna z Los Angeles przyjechała na kilka koncertów do Europy. Dyrygentem jest Pablo Heras Alzola, solistą jest pianista Andrzej Watts (30 lat).

Jednym z największych wydarzeń w życiu kulturalnym Szwecji są tzw. tygodnie muzyki w mieście Osterund, stanowiące zakończenie sezonu muzycznego. Tegoroczny „Tydzień” zapoczątkowały występy sztokholmskiej orkiestry filharmonicznej pod gościnną batutą Henryka Czaja, a udziałem skrzypki polskiego pochodzenia — Bruno Eichenholza. Głównym programem było wykonanie „Pasji” Krzysztofa Pendereckiego. Utwór przyjęto niezwykle gorąco.

Film

W ciągu 3 lat w ZRA wystawiono z powodzeniem 50 polskich filmów fabularnych, a w telewizji 10 filmów fabularnych i 3 serie filmów fabularnych. Ponadto występowały zespoły „Słask” i „Kamionka”.

Luis Mariano kupił sobie nową fermę, w której hoduje krowy. Siedem ostatnio zakupionych krow otrzymał imieniem sławnych aktorów, z którymi Mariano ostatnio występował.

Senat amerykański zatwierdził projekt ustawy o wybitcu 100 medali pamiątkowych, z podobizną Walt Disney'a. Dochód jest przeznaczony na potrzeby Instytutu kształcenia młodych artystów, założonego w 1961 r. przez Disney'a.

Na festiwalu w La Plata film „Romek i Anka” reż. W. Fiwka otrzymał nagrodę najlepszego filmu rozrywkowego dla dzieci, a „Kwartalnik” reż. Situlita podobną nagrodę za film rozrywkowy animowany. Na festiwalu w Montevideo „Rodzina człowiecza” reż. Wł. Sleskiego zdobyła pierwszą nagrodę w kategorii filmów dokumentalnych oraz odznaczenie dla najlepszego filmu festiwalu.

Gdy Ursula Andress siedziała w paryskiego fryzjera, jakiś klientka wzięła ją za dziewczynę i wzięła jej 99 franków napitku. Aktorka bez zmużenia oka schowała pieniądze.

Gunther Sachs wniósł do senatu sprawę przeciwko pewnemu fotoreporterowi, który zrobił zdjęcie jego i jego żony BB w ich prywatnym ogrodzie, gdy byli kompletnie rozebrani.

W ciągu 15 dni ma być nakręcony show dla telewizji amerykańskiej, zachodniemieckiej i francuskiej z księżną Monaco w jednej z głównych ról. Księżna zresztą będzie tylko spacerowała po zamkowym parku z bukietem róż przy twarzy.

Różne

W Warszawie podpisano umowę kulturalną między Polską a Demokratyczną Republiką Wietnamu. Przewidyuje się m. in. wymianę pisarzy, dziennikarzy i filmów.

Z okazji Dni Kultury Bułgarskiej w dniach 8 i 9 września występowała w Warszawie Sofijska Orkiestra Kameralna, w Łazienkach warto wystawę malarstwa bułgarskiego.

30-osobowa grupa francuskich architektów-urbanistów przetrwała na statku w Polsce. Zapoznają się oni m. in. z problemami aglomeracji Krakowa, Śląska, Trójmiasta, Poznania i Warszawy, a także ze sprawami planowania przestrzennego.

Od kilku tygodni ekipa polskiej archeologów z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN przebywa we Francji. Dokonano tam wielu ciekawych odkryć.

Jak podało radio pekińskie w pierwszym roku trwania rewolucji kulturalnej wydano w ChRL 59 mln egzemplarzy dzieł Mao — 4 razy więcej niż w ciągu poprzednich 17 lat. Aby nadążyć z drukiem w ub. roku zwiększono park maszynowy w drukarniach czterokrotnie.

Według informacji UNESCO największy procent kobiet na wyższych studiach posiadają w Europie: Finlandia — 47, Francja — 43, Szwecja — 32, Irlandia — 30. W USA studentek jest 33 proc., w Australii 36 proc., w Japonii 33 proc., a w Libanie za ledwie 6 proc. Najbardziej sferminizowane są kierunki filozoficzne i farmacja.

Charles Aznavour miał we wrześniu występować w Salonikach z okazji targów międzynarodowych, ale odmówił wyjazdu ze względu na sytuację polityczną w Grecji. Ale odmówił także podjęcia antypetycji o zwolnienie Theodorakisa.

W Związku Radzieckim czynnych jest ok. 400 tysięcy bibliotek, w tym 17 tysięcy bibliotek publicznych. Wszystkie razem mają 2,5 milarda książek.

Angielski dziennik „Guardian” zamieścił obszerny artykuł Davida Villisa poświęcony pamięci Janusza Korczaka, jako pisarza, wychowawcy i lekarza.

Beatlesowie po dość nieoczekiwanej śmierci ich menedżera Briana Epstein'a odwołują się do tego, aby wielotygodniowe medytacje pozwoliły im przezwyciężyć szok, jakiego doznał wskutek śmierci menedżera i przyjaciela”.

Malarz irański Saminhi namalował portret cesarzewi Farah. Ostatnio szach zezwolił mu na wykonanie kopii i wystawianie jej pod warunkiem, że na tej samej ścianie nie będzie wisiał żaden inny obraz.

JESTEM pod bezpośrednim wrażeniem tej wizyty. Pod pióro cisną się obrazy, barwy i nastroje niezapomnianego przyjęcia, jakie prezydentowi Francji zgotował naród polski. Każdy dzień wizyty generala de Gaulle'a miał swój wyjątkowy akcent, każdy przynosił wzruszające dowody wzajemnej sympatii i przyjaźni. Byliśmy wszyscy świadkami polskiego tygodnia generala, tego, co się dokonało między jego pierwszym i ostatnim po polsku wypowiedzianym zdaniem, między powitaniem Polski a pożegnaniem naszej Polski. General de Gaulle przyjechał do nas w potrójnej niejako roli: jako przedstawiciel kraju, z którym łączą nas wieloletkowe więzy przyjaźni i współpracy, jako mąż stanu, który dzięki swej odwadze i dalekowzroczności potrafił zapewnić Francji jej wielkość i rozwój, oraz jako człowiek szukający na ziemi polskiej młodości i optymizmu. Wszystkie związane z tym nadzieje — jak oświadczył — spełniły się i wizyta, podjęta u schyłku życia, stała się ważnym wydarzeniem w jego karierze politycznej. W stosunkach łączących oba kraje (dwie skały odległe, ale chowane przez wicher tego samego oceanu), w historii współczesnej Europy. To była na prawdę uspaniala podróż: Warszawa, Kraków, Katowice, Gdańsk — powiedział general po powrocie do Paryża. — Myślę, że ta podróż będzie miała wpływ nie tylko na stosunki dwustronne, ale i międzynarodowe.

Podróż prezydenta de Gaulle'a do Polski była logicznym następstwem jego praktyki politycznej, uporczywego szukania dróg wiodących do współpracy międzynarodowej i utrwalenia pokoju. Nie więc dziwne, że wzbudziła ona szczególne zainteresowanie w świecie. Obok komentarzy, trafnie oceniających znaczenie tej wizyty, rolę, jaką może w Europie odegrać polsko-francuska współpraca, nie brakło karłowatych spekulacji, usiłujących doszukiwać się w podróży generala sensacyjnych zamiarów. Odnazczyła się w tej dziedzinie zwłaszcza prasa zachodniemiecka, dając do zrozumienia, że de Gaulle będzie chciał namawiać Polskę do „rozluźnienia” więzów łączących ją z obozem socjalistycznym i nabrania „zaufania” do Niemiec zachodnich. Znaczący odłam reakcyjnej prasy pragnął w ten sposób zaclennić prawdziwy charakter polityki de Gaulle'a i z góry przygotować podstawę do zakwalifikowania podróży jako nieudanej imprezy, a nawet porażki generala.

Przebieg wizyty, wystąpienia prezydenta Francji i jego rozmowy z przywódcami Polski wykazały, że spekulacje te nie miały najmniejszych podstaw.

Nie jest rzeczą przypadkową, że Francja teraz właśnie poczęła szukać partnerstwa Polski w wysiłkach dla zapewnienia bezpieczeństwa Europy i pokoju w świecie. Kraj nasz, dzięki sojuszowi ze Związkiem Radzieckim potrafił odrodzić swą osobowość narodową i zapewnić sobie społeczno-ekonomiczny rozwój, zajęć ważne miejsce w Europie. Sojusz ze Związkiem Radzieckim stanowi o naszej sile i naszej atrakcyjności jako partnera walki o porozumienie między narodami. I z taką Polską, wspartą korzystnymi sojuszami, pragnie Francja współpracować, taka Polska bowiem daje gwarancje skuteczności partnerstwa. Jest rzeczą charakterystyczną, że właśnie w tym kontekście padła w czasie rozmów charakterystyczna uwaga: dziś Francja po raz pierwszy może układać przyjazne stosunki z Europą wchodzącą bez dylematu wyboru między Polską a jej potężnym wschodnim sąsiadem. To, co general de Gaulle rozumiał przed podróżą, to, co wiedział o zmianach, jakie przeobraziły po ostatniej wojnie tradycyjny sojuszniczek Francji, Polskę, mógł w czasie podróży z o b a c z y ć i o s o b i s t i c i e o c e n i ć. Konfrontacja wypadła pozytywnie. General ommenił się w przekonaniu, że odnowienie sojuszu polsko-francuskiego nie będzie jeszcze jednym grzeszonołowym aktem, lecz wydarzeniem, które wpłynie na dalszy rozwój Europy. Nie przez przypadek nasz gość używał słowa partnerstwa, współpraca, Polska, kraj silny społecznie i gospodarczo, zabezpieczony najkorzystniejszymi sojuszami, ma pełne możliwości efektywnego współdziałania na rzecz odprężenia i bezpieczeństwa, na rzecz pokoju. Znalazło to wyraz w propozycjach, jakie de Gaulle skierował pod adresem naszego kraju, w deklaracji opublikowanej na zakończenie wizyty, w wielogodzinnych rozmowach, przeprowadzonych z przywódcami Polski. Partnerstwo polsko-francuskie otrzymało określone ramy, wyraźnie sprecyzowany program.

Opublikowana na zakończenie wizyty deklaracja mówi wyraźnie o zbliżeniu poglądów Polski i Francji na konkretne problemy międzynarodowe. Nie oznacza to, że poglądy te są zawsze identyczne, tak jak na przykład w sprawie stosunków obu krajów do problemu niemieckiego. I Polska i Francja uważają, że jest to niezwykle ważny problem bezpieczeństwa europejskiego i że jego uregulowanie może nastąpić tylko za zgodą wszystkich zainteresowanych krajów. I Polska i Francja stoją na stanowisku nienaruszalności obecnych granic polskich. Prezydent de Gaulle dał temu niejednokrotnie wyraz w czasie swej podróży po Polsce, a jego wystąpienie w Zabruza określone zostało jako bezprecedensowe. Super-Quebec kosztem niemieckiego przyjacielu i sprzymierzeńcu celebrowany był w Hindenburgu, noszącym od 1945 roku ponownie nazwę Zabrze — pisała zachodniemiecka „Die Welt” po nazwaniu przez de Gaulle'a Zabrze najbardziej polskim miastem. Bardzo charakterystyczna była również inna interpretacja polskich wystąpień prezydenta Francji. „Neue Rhein-Ruhr Zeitung” napisała: „De Gaulle powiedział w Warszawie coś, co w Bonn uchodził za jeszcze za heresję: 1. granica na Odrze i Nysie jest ostateczna i nie podlega żadnej rewizji; 2. zjednoczenie jest sprawą samych Niemców, inne drogi nie uchodzą w rachubę; 3. Bonn nie może ani bezpośrednio, ani pośrednio, ani dziś, ani jutro mieć dostępu do broni atomowej. Czy trzeba coś dodawać do tych komentarzy? Niektóre pisma zachodnie poczuły się zawiedzione, inne wpadły w radość. De Gaulle ponosił porażkę, ponieważ nie namówił Polski do lepszych stosunków z NRF. Mrzonki zachodniemieckich polityków, jakoby prezydent Francji przyjechał do Polski w roli ambasadora Bonn, mogły się zrodzić tylko w atmosferze zamieszania panującego od dawna w NRF. To fakt, że Francja utrzymuje dobre stosunki z Niemcami zachodnimi, ale faktem jest również, że Polska utrzymuje stosunki przyjaźni z NRD. Spekulowanie na tym, że któryś z tych krajów będzie namawiał swego partnera do zmiany stosunków z jednym z państw niemieckich było może ciekawe, ale z rzeczywistością niewiele miało wspólnego. Francja nie została upoważniona przez nikogo — powiedział francuski minister spraw zagranicznych — do skłaniania rządu polskiego, by zmienił swe stanowisko. Wydaje się, że jasnej odpowiedzi w tej sprawie udzielił przywódca Polski i Francji w czasie swych wystąpień w Sejmie. De Gaulle poinformował, że Francja nawiązuje z NRF stosunki pojednania z chwilą, gdy to państwo wyrzeka się swych karygodnych czynów. Władysław Gomułka zaś stwierdził, że Polska gotowa jest normalizować swe stosunki z NRF, jeśli jej polityka wyjdzie z nowych, realistycznych założeń. Zwrócić uwagę na te sformułowania. Francja mówi o swych stosunkach z NRF w czasie teraźniejszym, nawiązuje ona z tym państwem współpracę, co jest normalne jeśli się weźmie pod uwagę, że NRF nie wysuwa już żadnych roszczeń pod adresem Francji. Polska natomiast mówi o tych stosunkach w czasie przyszłym, uzależniając je od zmiany dotychczasowej polityki NRF wobec Polski, polityki zagrażającej bezpieczeństwu naszego kraju. Stanowiska Francji i Polski w sprawie Niemiec są jasne i trzeba wyjątkowo wiele zły woli, aby mówić nie o uzasadnionych różnicach w zgodnym podejściu obu krajów do całości niemieckiego problemu, lecz o porażce którejś ze stron.

Podstawową płaszczyzną, na której spotkały się znowu Polska i Francja, jest wspólne działanie na rzecz utrwalenia pokoju, wspólne działanie — jak powiedział de Gaulle — w światowej rozgrywce, w której stawka jest albo pokój i postęp dla wszystkich, albo wojna i całkowita zagłada.

Siedem dni generala w Polsce, siedem pracowitych dni otwarto nowy rozdział w wieloletkowych stosunkach między Polską i Francją. Kiedy na zakończenie swej wizyty gen. de Gaulle zegnał nasz kraj żarliwym apelem: teraz musimy zjednoczyć się na rzecz pokoju, który jedynie zapewni każdemu narodowi samodzielną suwerenność i swych losach; pokoju, który w Europie ustalił się naprzeciwko tylko dzięki odprężeniu, porozumieniu, wreszcie dzięki współpracy wszystkich narodów naszego kontynentu, mimo ran porażek wojny, mimo różnic wiekowych, to ezulimamy, że żegnany człowiek, który konsekwentnie w swym postępowaniu, w swej trosce o losy świata, znalazł w Polsce, w kraju swej młodości zrozumienie dla swych idei, sympatię dla siebie i nowy szacunek dla Francji.



mu Tomaszewski  
Piotr 10  
29 lut 1948

W zaulku

Zaułek. Sierzypki śnieg, Objęci kroczą. Im obojętne, że padają strzały. Cielują się i u warg arzących dwa obłoczki Zlewają się w jeden biały. Śmierć chodzi rozgniewana, O tu jest tu, za węglem! blisko! obok! A biedny człowiek obejmuje ukochaną I szepce do niej takie stare słowa: „Mila! Najdroższa!” do piersi ją tuli. I znowu strzały. Przyskaka ją mocniej. Jaką przeszkodą mogłobyśmy być dla kuli? Lecz nawet ona nie potrafi Rozłączyć naszych słabych dloni! Boże! W ziemie nie znajduje się kwiatów pachnących, Najmniejszej trawki nawet się nie spotka — A tutaj z śmierci draczący Ludzie mogą się tak kochać słodko! Maże za chwilę się zatacza, Jak gdyby się na lodzie poślizgnął, Lecz obejmują się tak samo czule Do Ciebie przydą, śmierć ich nie rozdzieli. Może w dni takie modli się trzeba jedynie, Jedynie płakać cichutko... Lecz, Panie, jakież nie wybaczysz winy Tym, którzy się kochają?

Przełożył Stefan Orzyk

**J. DOSTATNI:** — Materiały związane z życiem wyższych uczelni Lublina, Białegostoku, Kielc i Rzeszowa często ukarują się w „Kamieniu”. Na ogół są to wyniki badań naukowych, prowadzonych przez różne katedry, ale nie brakuje także problemów z życia studenckiego. Sądzimy, że streszczenie naszej dzisiejszej dyskusji przyda się przede wszystkim tym, którzy rozpoczynają studia, ale że również dostarczy materiału do przemyśleń także tym, którzy jako pracownicy naukowi szczególnie blisko kontaktują się ze studentami pierwszego roku.

**Dr MAŃKOWSKI:** — Proponuję powstrzymanie się od uwag na temat tego, czy i jak szkoła średnia przygotowuje swoich absolwentów do wyższych studiów. Mamy konkretnego studenta i jego tylko możemy na wyższe uczelnie kształtować. Chodzi nam o to, co nazywa się psychologicznym problemem trudności na I roku, chodzi nam o znalezienie przyczyn subiektywnych, powodujących tak duży odwrót już na progu studiów. Przepadają przecież nie tylko słabsi w nauce i mniej odporni psychicznie, ale często i zdolni, a nawet pilni, lecz nie umiejący się adaptować do nowej techniki pracy. Wiemy, że nie tylko na chemii, ale nawet i na polonistyce nieraz połowa pierwszorocznych jest zagrożona. No i jak przebiegało szkolenie asystentów, a więc tych pracowników naukowych, którzy są najbliższymi związanymi ze studentami. Chodzi tu o szkolenie pedagogiczne, przeprowadzane przez UMCS.

**Doc. STOJAŁOWSKA:** — Jestem trzeci rok przewodniczącą Rady Pedagogicznej I roku. Matura i egzamin wstępny w rozumieniu młodzieży to dojrzałość i samodzielność. Ale w gruncie rzeczy ci młodzi ludzie w ciągu jednego dnia czy miesiąca nie mogli się stać samodzielnymi. Dążymy do tego, by student I roku nawet wbrew swojej woli czy świadomości jednak rzeczywiście stawał się samodzielnym, ale to wymaga jeszcze pracy. Już na inauguracyjnym zebraniu przedstawiliśmy im z grubsza hierarchię uczelni, ich prawa i obowiązki, ja przedstawiam Radę Pedagogiczną, jej zadania i cele jako pośrednika między studentami a katedrami. Adiunkt i ja mówimy na pierwszych wykładach, jak należy się uczyć, prosimy o to samo wszystkich wykładowców. Po miesiącu organizujemy wykład specjalny z zakresu psychologii oraz o zasadach uczenia się. Dajemy liczne informacje na piśmie, co i gdzie się dzieje, kto i co załatwia. Niestety z tego wszystkiego dość znaczną część młodzieży nie umie korzystać. Nie czytają nawet tych ogłoszeń, na których widnieją ich własne nazwiska czy ogłoszeń o wolnych stypendiach, o które później tak bardzo zabiegają.

**Dr MAŃKOWSKI:** — Czy zdąży się, że warunki materialne uniemożliwiają prawidłowe studia?

**Doc. STOJAŁOWSKA:** — Nie znam takiego wypadku. Jeżeli student ma złe warunki materialne a uczy się chociażby względnie dobrze, zawsze otrzyma takie czy inne stypendium.

**Dr JAROSZYŃSKA:** — Na WSR postępujemy podobnie jak na UMCS. Ale np. gdy ogłaszamy terminy egzaminów i pytamy, czy terminy są dobrze rozłożone, bo możemy je zmienić, nikt się nie zgłasza. Dopiero tuż przed egzaminem zaczynają się zabiegi o przełożenie terminu, co już wtedy jest znacznie trudniejsze. Jedni nie zgłaszają się z nieśmiałością...

**Dr KOMOROWSKI:** — Inni twierdzą, że jakoś to będzie. Stara nasza przysłowa naradowa.

**Dr JAROSZYŃSKA:** — Powtarzamy wielokrotnie, że każdy student ma prawo do bezpłatnej konsultacji z asystentem, jeżeli czegoś nie rozumie, jeżeli ma kłopoty z opanowaniem materiału. W ciągu 11 lat nie zdarzyło mi się, aby chociaż jeden przyszedł. Spotkałam się już i z takim zdaniem: jeżeli mnie przyjdzie na studia, jeżeli państwo wyłożyły już na mnie pewną sumę pieniędzy, to mnie nie mogą wyrzucić, jakoś to będzie.

**Doc. STOJAŁOWSKA:** — W roku ub. zorganizowaliśmy dla asystentów referat dyskusyjny psychologa. Dyskusja zresztą odbyła się po trzech miesiącach, chodziło o sprawozdanie z referatu w swojej własnej praktyce. Była bardzo interesująca, pozwoliła nam w pewnym stopniu ujednolicić metodę nauczania. Teraz w październiku zrobimy przykładowe ćwiczenia z biologii, w listopadzie z anatomii i histologii. Studenci będą normalnie pracowali, a asystenci obserwowali bardziej doświadczonych kolegów. Potem z pomocą UMCS zorganizujemy seminarium dla asystentów.

**Dr KOMOROWSKI:** — Student nawiązuje kontakt z wyższą uczelnią w stałym napięciu psychicznym. Matura — napięcie. Egzamin wstępny — napięcie. Nowi ludzie, nowe otoczenie, nowe warunki — wciąż napięcie. Ci, którzy przeprowadzają egzamin wstępny, a więc jakby forpoczta uczelni, też są w napięciu. To nie sprzyja szyb-

kiej adaptacji. Narzekamy, że młodzież uczy się metodą pamięciową. Tak ją wychowano w szkole średniej, 70 proc. pytań egzaminu wstępnego też odwołuje się do pamięci, 10 proc. wykazuje zaangażowanie kandydata, a tylko 10 proc. pytań odwołuje się do prawdziwego rozumowania. Tak wykazywały nasze badania. Dodajmy jeszcze, że z różnych przyczyn zdarzają się wypadki, że student nie jest pewien, czy na studia dostał się zasłużenie.

**Dr JAROSZYŃSKA:** — Jeżeli więc mają te braki, dlaczego nie przychodzi na owe dodatkowe konsultacje?

**Dr KOMOROWSKI:** — Boją się opiekunów na I roku. To przecież ich byli egzaminatorzy, z którymi spotkali się w atmosferze napięcia. Boją się także, że przez konsultacje odkryją swoje słabe strony, że potem wykorzysta się ich braki.

**Dr JAROSZYŃSKA:** — Z gruntu także wchodzić.

**Doc. STOJAŁOWSKA:** — Tak jest, fałszywe. Z jakich powodów przepadają? (Najczęściej zresztą studentki, po kilka rocznic). Jednych pchnęła na ten kierunek rodzina a po pewnym czasie dochodzą oni do wniosku, że mają wstręt do tego kierunku. Mści się również poście na „modny” wydział, a nie zgodnie z zainteresowaniami. Moim zdaniem, większość kłopotów z nauką powstaje stąd, że wierzy się kolegom, a nie uczelni. Jeden z chłopców powiedział mi szczerze: jako młodemu studentowi wydawało mi się, że wszystko stoi przede mną otworem — teatr, kino, cho-

nie dla tego roku daje się asystentów najmłodszych, z najmniejszym doświadczeniem, starsi zaś pracę z najmłodszymi studentami uważają za despekt.

**Dr MAŃKOWSKI:** — Studenci skarżą się właśnie na tych najmłodszych, że są najbardziej ostry.

**Dr KOMOROWSKI:** — Rektor UMCS, prof. Seidler, mówił na jednym z ostatnich spotkań, że młodzi magistrowie zdobywszy stanowisko asystenta zbyt niewygodnie się ponad studentów, co właśnie i w ten sposób się ujawnia. Szukajmy więc winy nie tylko u studentów. A jeżeli chodzi o tych ostatnich — niektórzy z nich robią wrażenie takie: to my wam robimy łaskę, że jesteśmy, że chodzimy na wykłady i ćwiczenia. A w Studium Nauki i Wychowania był nawet taki wypadek, że przyszedł ojciec i powiedział: jeżeli chcecie, aby córka się uczyła to dajcie jej stypendium, bo inaczej nie z nauki.

**Doc. STOJAŁOWSKA:** — Na spotkaniu z nauczycielami szkół średnich postulujełam, aby już tam wprowadzać niektóre elementy techniki nauczania szkół wyższych. Np. 20-30 minut wykładu i sprawozdanie, czy i jak potrafią zrobić streszczenie, konspekt, sprawdzenie jakimś testem przyswojonych wiadomości, a przede wszystkim całościowego ujęcia jakiegoś zagadnienia. Sugerowałam także, aby nauczyć tam młodzież korzystania z nietypowego podręcznika, a więc uczenia samodzielnej pracy. A na wyższej uczelni trzeba zwłaszcza początkowo utrzymać styl pracy szkoły średniej.

**Dr JUSIAK:** — Te spotkania z rodzicami narodziły się na kierunku chemii w Poznaniu. Miałem taki wypadek, że ojciec z prowincji przyjechał w czerwcu i przyszedł się dowiedzieć, jak wypadają końcowe egzaminy. A tymczasem córka po złożeniu egzaminu wstępnego nie przyszła na żaden wykład, na żadne ćwiczenie, myśleliśmy, że zrezygnowała ze studiów. Tu w Lublinie powiedzieliśmy kiedyś na ćwiczeniach, że poprosimy rodziców zaniedbujących się. Zrobił się szum okropny. My jesteśmy dorośli, my jesteśmy samodzielnymi, ojciec obetnie mi kieszonkowe, będę się wstydział pojechać do domu — oto niektóre z głosów. Robimy więc inaczej: po pierwszym złym kolokwium pokazujemy list do rodziców i mówimy: jeżeli następnym razem będzie źle, wyślemy. Odnoszę to z reguły bardzo dobry skutek. Ale na te spotkania z rodzicami trzeba spojrzeć także z innej strony. Czy prowadzący ćwiczenia nie będą pod zbyt wielkim naciskiem rodziców, zwłaszcza tych wysoko postawionych i tych, którym się tak wydaje? Teraz też przychodzi, ale najczęściej już po fakcie...

**Dr JAROSZYŃSKA:** — U nas przed sesją egzaminacyjną opiekunowie roku zbierają od asystentów opinie, potem odbywa się zebranie z dziekanem i przedstawicielami młodzieży. Dziekan czyta nazwiska najlepszych, którzy mogą pomóc kolegom najsłabszym. Okazuje się, że studenci najczęściej do tego czasu nie zdają sobie sprawy z własnej sytuacji.

**R. DUL:** — Na farmacji jest podobnie. Dzielimy studentów na czte-

ce, ale wyniki grupy „filmowej” były znacznie lepsze.

**Dr KOMOROWSKI:** — Jeżeli mamy wrażeń studentów do samodzielnego pracy, to przede wszystkim musimy im dać wystarczającą liczbę książek i skryptów. A jednym i drugim wciąż brak, to też jedna z przyczyn tragedii. Tak samo wyposażenie naszych uczelni w nowoczesne środki nauczania jest — przeciętnie biorąc — bardzo skromne. Na wykładach mówimy o kosmosie, a nie mamy rzutnika. O takim wyposażeniu, jakie ma Katedra Mechanizacji Ilościowej prof. Hamana i doc. Orzechowskiego możemy tylko marzyć, przynajmniej w tej chwili.

**J. DOSTATNI:** — Od kilku lat mam bezpośredni kontakt ze studentami zwłaszcza przed sesją. Przecież oni zupełnie nie znają techniki uczenia się, ale wruszają ramionami, gdy im to mówię.

**Dr KOMOROWSKI:** — No bo rzeczywiście nikt ich tej techniki nie uczy. Właściwie odbieranie wykładu wymaga umiejętności. Trzeba nauczyć młodzież notować wykład. Po wykładzie trzeba tego samego dnia notatkę przejrzeć i uporządkować. Młodzi powinni zrozumieć, że uczenie się z cudzych notatek to w dużej części strata czasu, ich własna strata. Jeszcze większa strata czasu to rzekome uczenie się w pozycji leżącej. Najlepsze wyniki osiąga się przy stworzeniu sobie — przy pomocy kolegi lub koleżanki — warunków podobnych do egzaminu: uczyć się siedząc, mówić głośno, jak do egzaminatora. Nawet

# Czołganie się, zryw czy sprint?

## Dyskusja o studentach I roku

zenie z dziewczyną. No i utonął w tym. Wreszcie zawód lekarza wymaga dużych sił fizycznych i dużej odporności psychicznej. Też nie chcą w to wierzyć.

**Dr JAROSZYŃSKA:** — Próbowaliśmy różnych metod. Wydaje się, że przynajmniej na biologii, która jest przedmiotem pamięciowym, trzeba studentów I roku trzymać silną ręką — ciągle przepytywać, robić kartkówki. Zwłaszcza na początku trzeba stosować metody szkoły średniej. Egzaminy odłożone na wreszcie najczęściej wypadają gorzej. W czerwcu każdy obiecuje kuć, ale potem są wakacje, bigbeat, randki — w rezultacie jeszcze mniej czasu. Są oczywiście grupy, z którymi, jak się to mówi, można konie kraść, ale, niestety, zbyt ich mało.

**J. DOSTATNI:** — Żeby tak ktoś zbadał, ilu nie kończy normalnie roku czy nawet w ogóle studiów wskutek zakochania się (jak często z cudzysłowem!), ślubu, dzieci...

**R. DUL:** — Te wszystkie głosy pasują i do naszego wydziału. Parazytologia jest przedmiotem zupełnie nowym, obszernym. Ale prowadzono ją systemem szkolnym i po pierwszym semestrze wszyscy zdali. Innych przedmiotów tak nie prowadzono i pod koniec roku wychodziły luki, zwłaszcza w matematyce i chemii. Np. matematyka obejmuje — oczywiście w skrócie — zakres trzech lat studiów uniwersyteckich. Z wykładów można tylko częściowo skorzystać, a tu brak i podręczników i skryptów. Przy pomocy ZSP w połowie roku zorganizowaliśmy powtórkę materiału, ale to było dobrowolne, może i zbyt późno zrobione, koledzy na serio nie przykładali się, chociaż na pierwszym kolokwium ponad połowa miała oceny niedostateczne. Kierownik Katedry Chemii także zaalarmowany wynikami pierwszego kolokwium zorganizował co tydzień seminarium dla powtórci. Ale ponieważ seminaria były także dobrowolne, większość przychodziła nie przygotowana, i stałe topniała lista uczestników. Organizowaliśmy także grupy samopomocy w akademikach, ale większość rozleciała się bardzo szybko.

**Dr KOMOROWSKI:** — Powiedzmy sobie prawdę, że przeciętny student nie studiuje, ale uczy się metodą zrywową przed sesją. Tymczasem studia, szczególnie zaś nauki ścisłe, wymagają rytmiczności. A na kierunkach humanistycznych nie ma takiej możliwości „przycieknięcia” kartkówkami czy przepytaniami. Ale może i coś o asystentach. Nazywa się ich pracownikami dydaktyczno-naukowymi. Piękna nazwa, ale co oznacza? Że ma być nauczycielem, badaczem i popularyzatorem. Ma to wszystko pięknie harmonizować, a często sam dopiero przestał być studentem. W praktyce albo robi się pracownikiem szkoły średniej, albo czymś w rodzaju instytutu, czy wreszcie emancjacji TWP. Za dużo jak na asystenta. Właśnie od asystentów, pracujących z I rokiem, powinno się wymagać najwyższego kursu pedagogicznego. A tymczasem właś-

**Dr MAŃKOWSKI:** — Rodzi się projekt, aby wyłączyć część kadry asystenckiej tylko do prac dydaktycznych. Projekt ciekawy...

**Dr JAROSZYŃSKA:** — ale dyskusyjny. Czy nie zamienimy go w zwykłego nauczyciela?

**Dr MAŃKOWSKI:** — Proszę zwrócić uwagę, że na uczelni ten asystent jest lepszy, ten otrzymuje pochwały i nagrody, który lepiej pracuje naukowo. Osiągnięć dydaktycznych najczęściej nie bierze się pod uwagę, ba — nieraz powodują powstanie złej opinii.

**Dr KOMOROWSKI:** — Prowadzimy kursy pedagogizacji asystentów, ale nie są one dobrze postawione. Dajemy za dużo teorii, a za mało praktyki. Asystenci sami to czują. Mówimy o ogólnych zasadach, a nie prowadzimy nauczania metodycznego. Ja widzę trzy fazy; najpierw wykład, potem realizacja tego, co w wykładzie, wreszcie dyskusja i na temat wykładu, i na temat jego realizacji.

**Inż. KRZYWICKI:** — U nas z założenia jest nieco inaczej niż na innych uczelniach. Gdy początkowo prowadziliśmy wszystko jak na uniwersytetach, wyniki były podobne. Teraz jest stale bieżąca kontrola pracy studenta. Nie mamy osobnych wykładów i osobnych ćwiczeń, ale coś w rodzaju „wykład-ów-ćwiczeń”, na każdym ustnie lub pisemnie sprawozdanie. To zmniejszyło procent odsiewu i chyba podniósł się poziom. Ale początkowo były ostre reakcje studentów, że traktujemy ich jak uczniaków, nawet w jednym z dzienników ugał się na ten temat felieton. Z kasiową uwagą, że brakuje tylko wywiadówek. A studia techniczne należą do najtrudniejszych. Nawet formalnie wąska specjalność wymaga wiadomości z wielu szufladek, studentowi trzeba pomóc wyjawnąć odpowiednio szufladki. Literatura jest olbrzymia, trzeba pomóc wybrać, nauczyć selekcji. Wydaje mi się, że to nie studia, a po prostu uczenie się. Czy nie dojdziemy kiedyś do tego, że na wyższej uczelni też trzeba się uczyć, i że studia, te prawdziwe studia, zaczynają się dopiero na poziomie doktora?

**Dr KOMOROWSKI:** — A właśnie jak by zareagowali studenci u nas gdyby uczelnia zorganizowała co w rodzaju wywiadówek?

**R. DUL:** — Nie wyobrażamy sobie!

**Dr KOMOROWSKI:** — Rektor Lucek w Poznaniu już w zeszłym roku wprowadził spotkania z rodzicami. Uczelnia jest zadowolona, wyniki poprawiły się, system zostaje utrzymany na rok bieżący. Są już naśladowcy w Politechnice Warszawskiej.

**J. DOSTATNI:** — W uczelniach lubelskich rodzice nie mają trudności w dowiedzeniu się o postępach własnych dzieci, ale muszą sami przyjąć. Młodzież, oczywiście, protestuje, część rodziców ulega tej presji rzekomego ośmieszenia, a ci spoza Lublina całymi latami nie wiedzą.

ry grupy: wybijających się, do brych, słabych i zagrożonych. Z tymi ostatnimi rozmawia sam dziekan, pyta o trudności. Ale wynik jest różny.

**Dr MAŃKOWSKI:** — Rzeczywiście jest grupa studentów, która wierzy we wszechmoc rodziców, zresztą już przed egzaminem wstępnym. To się jednak kończy bardzo źle, rodzice dopiero po fakcie zdają sobie sprawę, jak wielką krzywdę wyrządzili swoim dzieciom. Ale jak jednych i innych przekonać o tym wcześniej?

**Dr JUSIAK:** — Na chemii już od października są dwa lub trzy kolokwia co tydzień. Student po prostu nie ma czasu na inne rzeczy niż na naukę. W akademikach chemicy są najrzadziej notowani za różne wykroczenia. Do niedawna zaś przodowali prawnicy, którzy do lutego nie mieli żadnej kontroli postępów. Teraz jest kontrola, prawnicy tracą to smutne przodownictwo. Może jeszcze warto dodać, że studenci z małych szkół w terenie początkowo wykazują mniejsze wiadomości, ale to się szybko wyrównuje. Obserwujemy natomiast, że absolwenci technikum chemicznego z Lublina początkowo przodują, ale potem już nie. Zawrót głowy? Zadanie? Ta zdobywana w ciągu dnia czy tygodnia dojrzałość to formalność a nie rzeczywistość, chociaż młodzież przykłada do tego dużą wagę. A w ogóle to przychodzi ona do uczelni chyba o rok za wcześnie, studenci II roku z zasady już są zupełnie inni. Przepraszam, ale studentki nie tylko mniej się malują, ale i więcej rozumieją. Przepraszam też kolegę Dula, ale chyba te wywiadówki czy spotkania trzeba wprowadzić.

**KILKA GŁOSÓW:** — Na wszystkich kierunkach dla I roku.

**Dr KOMOROWSKI:** — Przepracowaliśmy ciekawe badania. Podzieliłmy studentów na trzy grupy zrównoważone — jeżeli tak można powiedzieć — jakościowo. Ten sam zasób wiedzy przekazaliśmy jednej grupie wykładem, drugiej przez ćwiczenie, trzecia miała samodzielnie przestudiować wskazane teksty. Potem dokonaliśmy rotacji grup. Sumę wiadomości do przyswojenia oznaczyliśmy jako 100 jednostek. Okazało się, że samodzielna praca pozwoliła na przyswojenie sobie przeciętnie 43 jednostek, ćwiczenia 33, a wykład 31. Podkreślam, że wykładowca był nie tylko wybitnym fachowcem, ale i doskonałym mówcą. To, oczywiście, nie znaczy, że trzeba znieść wykłady i ćwiczenia, bardzo często w ogóle to niemożliwe. Ale to równocześnie znaczy, że trzeba dążyć do wyrabiania samodzielności, do jej ćwiczenia.

**Dr JUSIAK:** — Powiedzmy sobie prawdę, że na kierunkach przyrodniczych pracujemy jeszcze niekiedy metodami niemal króla Cwieczka. Do dziś obowiązujący podręcznik z chemii pochodzi z końca XIX w. My ten sam temat przekazaliśmy jednej grupie filmem, drugiej wykładem, też przez fachowca. Film trwał 20 proc. kró-

ty, gdy brak kogoś drugiego, to tego egzaminatora trzeba sobie wyobrazić.

**Dr JUSIAK:** — Na początku była mowa o warunkach materialnych. Ja też nie spotkałem wypadku, aby takie warunki uniemożliwiły studia, to olbrzymia zdobycz naszego stroju. Ale chciałbym zwrócić uwagę, że są jeszcze studenci, którzy uczą się tylko, aby osiągnąć tzw. stopnie państwowe czyli trójki. Niektórzy nawet tworzą kult tych trójek, mówiąc: czy ci asystenci są normalni, że żądają od nas dobrych stopni? Po co?

**J. DOSTATNI:** — Uniwersytet Jagielloński wprowadził ostatnio specjalne dyplomy dla prymusów. Warto chyba tę inicjatywę rozszerzyć na wszystkie uczelnie, a potem preferować poborami w okresie stażu. Urawnilowka w dyplomach prowadzi do tego, że niektórzy nie przechodzą, ale czolągają się przez studia — jak to powiedział kiedyś w rozmowie ze mną jeden z b. prorektorów UMCS.

**Inż. KRZYWICKI:** — Procent odsiewu obejmuje i takie wypadki, jaki zdarzył się u nas, gdy wobec całej komisji student oświadczył: ja nie chciałem studiować, mama mnie zmusiła, bo koniecznie chciała mieć syna z wyższym wykształceniem, teraz niech się sama martwi.

**Dr JUSIAK:** — WSI procent odsiewu na studiach dziennych jest jednak niższy niż na wieczorowych. Na dziennych najpierw przy pomocy ZMS i ZMW organizowaliśmy komplety, aby lepsi pomagali słabszym. Gdy to nie chwyciło, daliśmy do tych kompletów specjalistów, ale nie tych, którzy prowadzili wykłady. Jednak zaczęły się rozlatywać, a przecież nie decydowało to, że konsultant mógł potem wykorzystywać braki. U nas nie mamy asystentów, wykładają młodzi i starsi pracownicy przemysłu. Fachowcy zawodowi, ale bez przygotowania dydaktycznego. Mają dużo dobrej woli, ale to nie wystarczy. I my poprosiliśmy z wykładem panią prof. Reutt, ale nawet kilkanaście wykładów nie poprawi radykalnie sytuacji. Czekam ona jeszcze na rozwiązanie, podobnie jak na innych uczelniach. Atakowaliśmy tu studentów, ja też, ale lojalnie przyznajmy, że i my nie jesteśmy w porządku.

**Dr KOMOROWSKI:** — To duża i ciężka praca dla nas, dla naszej Katedry.

**Dr KRZYWICKI:** — Jeszcze słowo w obronie studenta. Oni z natury są wobec starszych nieufni, czasem nawet podejrzliwi. Orientują się szybko, gdy profesor lub docent na wykładzie streszcza własną lub cudzą kazałkę. Nie przychodzą, nie uważają, bo mogą to przecież przeczytać. A że potem często nie czytają, to już inna sprawa.

**Doc. STOJAŁOWSKA:** — Kadra naukowa chce przekazać młodzie-

(Dokończenie na str. 11)

Spotkanie u prorektora uniwersytetu lwowskiego. Prorektor mówi o współpracy między uczelniami Lwowa i Lublina. Wyraża nadzieję, że nasz pobyt w Związku Radzieckim, wspólna praca na celinie przyczynią się jeszcze bardziej do umocnienia więzi między naszymi narodami.

— Wasza praca na nowych ziemiach Kazachstanu jest wkładem polskich studentów w dzieło budowy komunizmu i jednocześnie uczeniem 50 rocznicy Rewolucji Październikowej — kończy.

Wyjeżdżamy w nocy. Mimo bardzo późnej pory tłum młodzieży żegna kolegów. Chłopcy — celinnicy ubrani w kolorowe koszulki z naszytymi plakatami brygad.

Pociąg to specjalny eszelon, którym wyjeżdża ze Lwowa około 700 studentów. Wagon obleplony fartobliwymi rysunkami i hasłami: „Zegnaj wodno”, „tu jadą medycy”, „witaj ziemio celinna”. Muzyka i pieśń rozlegają się po całym dworcu, eszelon rusza. Przejedźmy przez terytorium Ukrainy. W okolicach Syzrańa mijamy matkę rosyjskich rzek.

— Wołga, Wołga — słychać okrzyki w wagonie.

— To najdłuższa rzeka Europy — wyjaśnia Piotr.

Pociąg zatrzymuje się tylko na większych

Rzucane w 1954 r. hasło zagospodarowania stepów północnego Kazachstanu znalazło żywy oddźwięk wśród młodzieży. Pierwsi przejechali na puste stepy komsomolcy, ochotnicy. Rozbili namioty i zaczęli zaorwać step. Żyć nie było łatwo. Latem upały dochodzące do 50 stopni. Zima mroźna.

— Kiedy przyjdzie buran — opowiadają mieszkańcy — czasami wieje przez kilka dni. Nie widać nic na dwa metry. Zdarzały się wypadki, że po wyjściu z domu człowiek nie mógł trafić z powrotem. Ludzie zamrażali.

Dziś te lata obrosły legendą. Step jest ujarzmiony. Owocem ponad dziesięcioletniej walki ludzi z przyrodą są nowe osiedla, dobrze zagospodarowane sowchozy, uprawiające setki tysięcy ha ziemi, dające rocznie miliony ton pszenicy. Chociaż plony z ha są jeszcze niskie, tysiące uprawianych hektarów dają potrzebne zboże. Celina wymaga jednak ciągłej pomocy. Brak rąk do pracy. Z pomocą przychodzą studenci.

Będziemy pracować w sowchozie im. Williamsa, w Oktiabrskim rejonie Kustanajskiej Oblast. Sowchoz, który należy do lepszych w rejonie, posiada 60 tys. ha ziemi. Mieszka w nim ponad 3 tysiące ludności. Ziemię uprawia się 90 traktorami i zbiera zboże 120 kombajnami. Nasza brygada liczy 52 osoby. Kieruje nią komendant. Sprawami polityczno-wychowawczymi zajmuje się

nie budował koszar dla owiec. W końcu wyznaczaliśmy miejsce. Kopymy dół pod słup. Ziemia twarda, spalona przez słońce. Najpierw trzeba ją zruszyć łopatą, a następnie wybierać łopata. Upał. Od rozgrzanego stepu wieje gorący wiatr. Pijemy sielonkawkę, smierząca wodę. „Pierokury” — przerwy na papierosa, stają się coraz częstsze. Wreszcie godzina 13. Kończymy pracę. Jednak ciężarówka nie przyjeżdża po nas. Całe szczęście, że na obiad odwozi nas kazachski pastuch własnym moskwiczem. W woźwie czabana siedzi jego 5-letnia córeczka i z dumą otwiera drzwi samochodu, gdy któryś z kolegów ma trudności z zamknięciem nowego moskwicza.

Przejechał dzisiaj na budowę majster sowchozu. Okazuje się, że źle rozmiarzyliśmy obiekt. Trzeba zgodnie z planem zbudować koszarę o szerokości 8 metrów, a nie 12. Przyszło na nowo przekopywać kilkadziesiąt słupów. Jeszcze całkiem nie skończyliśmy przestawiać, a już ktoś z nas zauważył, że w jednym końcu nasz budynek ma metrów 8, a w drugim 10. Zauważył to ktoś, czy nie? Martwiliśmy się przez cały dzień.

— Tak „na oko” to nie widać — mówi zawsze wesoly Sławik.

— Wszystko w porządku, tylko, że perspektywa idzie w odwrotnym kierunku — stwierdza wesoly fizyk Kola.

Trzeba było przestawić słupy jeszcze raz. Wreszcie położyliśmy belki. Skończymy ko-



„Zbarnok u Kazachów

— Od 1935 r. byłem przewodniczącym kolechozu — mówił. — Wtedy u nas zaczęła się kolektywizacja. Hodowaliśmy nadoł owce. Nie wszyscy byli od razu zadowoleni. Trudno było oddać kilkadziesiąt własnych owiec do wspólnej koszary. Później okazało się, że tak nam będzie lepiej. W czasie wojny zaczęliśmy uprawiać trochę więcej pszenicy. Front potrzebował chleba. Dotychczas sialiśmy pszenicę tylko dla siebie. W 1954 r. założyli sowchoz. Zaczęli orać step, posiali pszenicę. Trzeba było zmniejszyć liczbę owiec. Najechało się nowych ludzi. Dostałem z rodziną dom. Wygodny, ale latem wołę spać w jurcie. Chłodniej i przyjemniej.

22 lipca. Na kolację podaliśmy naszym gościom (w tym dniu byliśmy gospodarzami) bigos po polsku i kazachskie bauraki, czyli paluszki z ciasta smażone w baranich tłuszczu. Wieczorem — ognisko. W stepie rozlegają się słowa naszego hymnu. Zadźwięczała polska pieśń. Opowiadaliśmy o Polsce, o Lublinie, o naszej dzielnicy uniwersyteckiej. Później śpiewaliśmy razem. Kiedy wygasło ognisko, poszliśmy na pożegnalny już spacer w step. Do późna w nocy toczyły się rozmowy o przyszłości, o naszej wspólnej pracy, o życiu Kazachów, o szansach tej ziemi, która rodzi pszenicę, kryje w sobie niemal wszystkie kopaliny i ma przed sobą wielką przyszłość.

W czwartek Taras przywozi wieść, że na sobotę mamy przygotować koncert dla ludności. Studenci przyjechali na celinę także z misją kulturalną: są prelegentami, organizują kursy dokształceniowe, prowadzą dziecięce i obozy pionierów.

— Co tu przygotowaw? — głowi się Iwan. — Nie ma czasu. Taras, może zaśpiewamy tę piosenkę o Lubce? Ona tak ładnie brzmi. — Z tą piosenką ani się ważcie. Program musi być właściwie dobrany.

— Staszek — zwraca się do mnie. — Przygotujcie i wy coś. Recytacje odpadają, tylko piosenka może być zrozumiała. Ale kto ją zaśpiewa?

24 lipca sala w sowchozowym agitpunkcie wypełniona po brzegi. W większości kobiety i dzieci. Ciekawość: co też oni pokazą? W ubiegłym roku to był piękny koncert.

Nasze występy nie wypadły dobrze. Lwowiacy stracili werwę. Śpiewali jakby dla siebie. Okazało się, że nie można lekceważyć publiczności i należy przygotowywać się solidnie do każdego występu. Całą sytuację ratował właściwie nasz brygadzysta Iwan, który pięknie bawił publiczność wesółymi, ludowymi dykteryjkami. On też miał reprezentować sowchoz na rejonowym festiwalu. Pięknie recytowała wiersze Wala i — czym byliśmy zaskoczeni — Taras.

Co niedzielę na stadionie w Williamsie mecze piłki nożnej. Przyjeżdżają drużyny z innych sowchozów. Zainteresowanie było ogromne. Na mecz przychodzili starsze kobiety z wnuczkami.

— Ten nasz obrońca jakoś słabo kopie — mówiła siedząca obok mnie babcia do swojej sąsiadki.

— W ubiegłą niedzielę grał lepiej — odpowiadała ta druga.

— Gola, Juryj, gola! — krzykliwi mężczyźni, gdy bramkarz strzelał nam karnego. Dłumetrowe chłopisko wzięło potężny rozbieg. Strzał był atomy, piłka 3 metry ponad bramką poleciała daleko w step. Stadion jęknął. Dobrotliwy Jura tylko się uśmiechnął. Nasi studenci górowali wykształceniem technicznym, ale ustępowały kondycja. Wynik był remisowy. Wniesiono co prawda kilku zawodników z poturbowanymi nogami, bo w sowchozie prowadziwią piłkę nożną oglądają przez telewizor.

— Wiecie — powiedziała Zosia — przyjechałabym tu na drugi rok. Ciekawa jestem, co tu się zmieni?

— Przeszadasz, Zosiu — odparł jej ktoś tam.

— Nie. To, co ona mówi, nie jest takie głupie — zauważył Jasio.

— Szkoda odjeżdżać. Zżyliśmy się z chłopakami z brygady, z ludnością — ciągnęła dalej Zosia.

Pożegnanie ze łzami w oczach. Step wydał nam się bliższy. Zostawiliśmy w nim ślad naszej pracy. Zegnaj koszarę, łaźnię, zegnajcie cztery domki...

Czekaliśmy nas: Kustanaj, Czelabińsk, Moskwa, Kijów, Karpaty. Jechaliśmy na wyścieczkę po ZSRR.

Stanisław Winiarczyk

# NASI NA CELINIE

stacjach. Wykorzystują ten moment studenci, aby uzupełnić zapasy żywności, przejść się po peronie, obejrzeć dworzec. Tworzą się natchmiast grupki, zjawia się ktoś z harmonią i za chwilę cały peron rozbrzmiewa piosenką. Od piosenki tylko krok do tańca. Zespół taneczny „Czermosz” wybija holubce aż z peronu kurz się unosi. Ale kiedy rozlega się sygnał trąbki — peron pustoszeje. Odjeżdżamy do następnego dworca i znów obrazy powtarzają się: tłum wyskakujący z pociągu, oblega kioski, śpiewa i tańczy.

Wjeżdżamy w Ural. Pociąg jedzie wzdłuż przelomu rzek. Małe osady, drewniane domki szare od deszczu i śniegu wyglądają jak klocek przyklejony do skał. Złotoust. Duże miasto przemysłowe leżące w sercu Urалу. W odległości kilku kilometrów znajduje się granica między Europą i Azją — informuje o tym niewielki słup z napisem. Las rzędnie powoli. Równiny. Monotonia. Zaczyna się Kazachstan. Czwartego dnia podróż, za Kustanajem, z okien wagonu oglądamy pożar stepów. Ogień rozprzestrzenił się na kilka kilometrów. Niska lawa płomieni zżera step. Wreszcie stacja docelowa: Czelgazi. Obok dworca tłumy ludzi przybyłe witać studentów. Ołbrzymi plac, a właściwie kwatek stepu ograniczony z jednej strony polem. Rzędy ciężarówek z transparentami. Na kilku słupach wiszą głościki. Dobywa się z nich jakaś dziarska ludowa melodia. Upał straszny. Stajemy od razu w pocie.

— Nie wytrzymamy chyba takiej pogody — szepcze ktoś z naszych.

— Popatrz, jacy oni opaleni! — zauważa ktoś drugi.

— Trzeba nam było wziąć panamy — śmieje się Bogdan.

Mała dziewczynka kazachska w czerwonej chustce ścisła polne kwiatki: na pewno dla nas. Starzy Kazachowie chodzą po placu i oglądają przybyłych. Kręcą głowami na widok podstrojonych dziewcząt. Przyjeżdżający po raz drugi witają się ze znajomymi. Przybyłe brygady ustawiają się w czworobok. Z zaimprovizowanej na ciężarówce mównicy witają studentów gospodarze. Z trybuny słyszymy, że liczba obiektów wybudowanych w roku bieżącym przez studentów ma wzrosnąć w porównaniu z rokiem ubiegłym.

— Dolożymy wszelkich wysiłków, by swoją pracą godnie uczcić nasze wielkie święto — odpowiada komendant sztabu rejonowego, student Instytutu Poligraficznego ze Lwowa, szef całej akcji celinnej. Po wlecie szybko ładujemy się na samochody i jedziemy do swojego sowchozu. Droga ubita z gliny wlezie nas przez step. Z jednej strony żaorne pole — wypoczywa w tym roku. Z drugiej pszenica. Jeszcze mała.

— Deszczu u nas nie było od maja — mówi jadący z nami sekretarz Komsomolu z sowchozu im. Williamsa. — W tym roku nie zanosi się na urodzaj. Są lata chude i tułste. Ten rok będzie chudy. Ale ubiegły był bardzo dobry. Zbiory największe w historii celiny. U nas wszystko zależy od pogody — kończy z żalem.

Celina — słowo u nas zupełnie obce. Znać jednak powszechnie w całym Związku Radzieckim. Co roku na celinę (celina, to nowizna, ugor) przyjeżdżają studenci ze wszystkich wyższych uczelni radzieckich. Budują, pomagają przy żniwach.

komisarz. Całość ważniejszych spraw rozstrzyga sztab.

Mamy zbudować łaźnię, koszarę dla owiec i 4 domki. Zostajemy podzieleni na 2 grupy. Jedni pracują w osadzie centralnej sowchozu — budują łaźnię, drudzy w filii sowchozu — Tiubeku, gdzie wznoszą koszarę i domki mieszkalne.

Spimy w kazachskiej szkole w Tiubeku. Większość mieszkańców osady to Kazachowie. Żyją tu od dawna. To stary aul, czyli wieś kazachska, zbudowana gliniankami. Dzisiaj w gliniankach już nikt nie mieszka. Nawet Kazachowie mówią, że w drewnianym domu cieplej i wygodniej. W Tiubeku mieszkają też Ukraińcy i Rosjanie. Ich domki wyróżniają się szkludnością, ozdobami na ścianach, ładnym oświetleniem: kwiaty, warzywa w ogrodzie. Jest to wzór dla Kazachów, którzy nie mają takiej tradycji. W zaimprovizowanej w wagonie kuchni jedzenie gotują nam studentki rusycystyki ze Lwowa: Masza i Wala. Pierwszy obiad był doskonały. Ciekawe, na ile im wystarczy tego animuszu i produktów?

Jestem w brygadzie Iwana, studenta IV roku matematyki. Mamy remontować starą koszarę. Ale remont w rzeczywistości wygląda tak, że robieramy zupełnie nowy i stawiamy nowy. W kosztorysie operacja ta zapisana jest jako kapitalny remont. Koszara, którą robieramy, ma gliniane ściany i dach ze słomy. Służyła tylko 5 lat.

Najpierw zrzućmy słomę z dachu. Robimy to razem z Wasją, studentem II roku Wydziału Dziennikarskiego.

— Jak trafieś do tego zawodu? — pytam go.

— Chciałem koniecznie pisać. Czuję wewnętrzna potrzebę pisania.

— To chyba nie tak łatwo — mówię.

— Zdam sobie z tego sprawę. Ale stawiam wszystko na jedną kartę. Powiedziałem sobie, że muszę być pisarzem. Od kilku lat prowadzę pamiętnik, zbieram obserwacje o ludziach, piszę opowiadania. Chciałbym być kiedyś znany — Wasia czerwieni się. Widocznie zawstydził się zbyt pełnego zwierzenia.

Zdemowana z dachu słoma kurzy strasznie. Słońce piecze niemilostnie. Pali nas pragnienie. Nie wzięliśmy nic do picia. Na koszarze zostali nam jeszcze krokwie i belki. Są przegniłe. Trzeba ostrożnie chodzić po nich. Z trudem odrywamy jedną po drugiej. Każdy zdaje sobie sprawę, że moment nieuważi grozi upadkiem na ziemię. Na dole przechwytyje belki Kazik z Zenią.

— Kazik, ja jestem od ciebie silniejszy. Chwytaj w cieńszym końcu.

— Jak to? Jestem tak samo wytrzymały.

Skończyliśmy z rozbiórką. Trzeba zabierać się do wznoszenia nowej koszary. Najpierw wyznaczyć miejsce. To nie takie proste. — Tutaj nie może stać — mówi Sławik, student filologii. — Wiosną podpłynę pod nią woda.

— Ale z kolei w innym miejscu jest pagórkowaty teren. Jak zbudujemy równo budynek o długości 80 metrów? Przesuśmy się więc dalej o kilka metrów. Miejsca tu nie brak — radzi ktoś inny.

— A gdzie ten nasz majster? Nigdy go nie ma, gdy jest nam potrzebny. Jeśli źle rozmięliśmy koszarę, niech ją sam przebuduje...

Majster to student politechniki. Czy mógł nam wiele pomóc? On też nigdy w życiu

szarę do 20 lipca — cieszyli się niektórzy. Dyrektor sowchozu też obejrzał naszą budowę i jak przystało na zwierzchnika poczynił uwagi i zastrzeżenia. Ze znanstwem stwierdził: — Ta belka nie wytrzyma ciężaru dachu. Tak nie można łączyć dwu belek. Tutaj proszę wymienić słup. Nie wytrwa rok i zgnije. Trzeba dać dobry materiał. Proszę podchodzić do pracy solidnie i jeśli czegoś nie wiecie, pytajcie fachowców — zakończył trochę już zdenerwowany.

— Postaramy się, towarzyszu dyrektorze — odpowiedział za wszystkich Wania. Zostaliśmy wreszcie sami. Klnąc pod nosem usuwaliśmy wytknięte usterki. Na drugi dzień przejechał nasz komendant Taras.

— Słuchajcie, dyrektor jest zadowolony z waszej pracy. Poprawcie te usterki i wszystko będzie w porządku — pocieszał. — To drobności. Najważniejsze, że zakończyliście w Williamsie zalewać fundamenty pod łaźnię. Zamknęto kosztorys, na każdego z nas wypadło po 30 rubli. Czyli, że pracą tylko przy łaźni zarobiliśmy na życie do końca miesiąca. Jak tak dalej pójdzie, to za lipiec zarobimy po 150 rubli.

Wysokość zarobków zawsze była uwzględniana przy pracy. Zarobek jest bowiem jednym z celów przyjazdu studentów, a placą tutaj dobrze. Podział zarobku — równy. Jeszcze na początku celinnej akcji studenci postanowili, że będą pracowali jednakowo i jednakowo zarabiali, obojętnie na jakim stanowisku. Członkami brygady na równi z nami są Masza i Wala — kucharki oraz Luda, wychowawczyni dziecińca organizowanego przez nasz oddział.

Zostało nam oblepienie ścian gliną. Nikt oprócz Wani nie wiedział, jak się to robi. Rozrzućmy glinę w duży krąg, następnie wlewamy wodę. Iwan wprowadza konia, który niechętnie stapa, w końcu wyrwywa się i kłusuje w step. Kończymy mieszanie własnymi nogami. Trzeba jeszcze dosypać słomy do mazi, inaczej glina popęka na ścianie. Głina nie bardzo chce się jednak trzymać. Trzeba uderzać tym błotem ze słomą po 2 i 3 razy. Ręka od rzućcia zaczyna omdlewać. Jeszcze do końca 2 godziny, godzina. Nie mogę się ruszać, a tu nagle:

— Chłopaki, zostańmy dzisiaj dłużej, prędzej skończymy tę ścianę. Przecież do pierwszego musimy oddać koszarę — proponuje najśmieszniejszy, albo najmniej zmęczony dzisiaj Zenia.

Nikt go nie popiera. Wszyscy mają na dziś dość gliny. Ale postanawiają, że od jutra będą pracowali dłużej.

Ściany mamy gotowe. Z krokwiami poszło łatwo. W ciągu dnia postawiliśmy wszystkie. Dwie osoby wnosły belki na dach, dwie podtrzymywały i dwie zbijały.

— Dobra organizacja pracy — mówi Iwan — to połowa roboty. Zwraca on na to dużą uwagę. Umie też podejść do kolegów i nie stara się wywyższać. Jeżeli czym się popisuje, to śpiewem. On zaczyna wszystkie piosenki, gdy wracamy w południe i wieczorem do Tiubeku. Gdy silne męskie głosy dźwięczą w starym aule, spod domów ciekawie przyglądają nam się aksakalowie, a dziewczęta nie zwalniają na tradycje muzulmańskie wybiegają na drogę, by jednocześnie posłuchać i popatrzeć.

Starzy Kazachowie często przychodzili na budowę. Rozmawiali z nami.

— Będzie ładna koszar, ciepły (język rosyjski znają bardzo słabo) — mówił. Pewnego razu przyszedł do nas jeden z najstarszych mieszkańców Tiubeku.

# 50 LAT LITERATURY RADZIECKIEJ

## Gwałtowne, burzliwe, inne

**Z** LITERATURĄ radziecką spotkałem się na drodze poezji. Już przed wojną przekładałem dla lwowskich „Sygnałów” i właśnie dla „Kamery” wiersze Pawła Tytyny i znakomitego tłumacza „Pana Tadeusza” na język ukraiński — Maksyma Rylskiego. Z radziecką natomiast prozą nie za łatwo można się było spotkać w naszym kraju w okresie międzywojennym. Ale przecież jak owoc zakazany smakowała ona tym bardziej. Pamiętam też, że w tych pierwszych spotkaniach prozatorzy najbardziej zdumiewała mnie świeżość, pasja kreacyjna, z jaką nie znani nam wówczas pisarze radzieccy wgrzyźali się w życie, oznajmiali nam je (inaczej), gwałtowniej i bardziej bezwzględnie, niż wszystko to, z czym zwykliśmy się byli stykać w książkach owych czasów. Toteż zarówno „Cement” Fiodora Gladkova, jak i „Rwacz” czy „Miłość Joanny Ney” niedawno zmarłego Illi Erenburga wprowadzały mnie i moich rówieśników,

kolegów po piórze, w zdumienie, pobudzały naszą wyobraźnię, zmuszały do refleksji, a przede wszystkim wzbudzały naszą ciekawość, rozbudowywały zainteresowania wszystkim, co działo się przecież tak blisko nas, o kilkadziesiąt za ledwie kilometrów, a co było tak odległe, takie trudne do sprawdzenia czy porównania.

I oto sporo lat po wojnie, powrotnie, już w zmienionych, jakże innych warunkach politycznych i społecznych, przemówiła do mnie znowa poezja, proza i dramaturgia radziecka. Przemówiła moim głosem, zadzwoniła jakże znaczącym echem od „Cichego Donu” do „Okopów Stalingradu”, przeszła kurtynami w granicze rymami Majakowskiego, „zadumczywością” (nie ma polskiego odpowiednika tego słowa) rosyjskich pejzaży Jesienina, filozoficznym zamysleniem Borysa Pasternaka, szeroką epiką Aleksieja Tolstoja, Wacławsława Szyszakowa, zwirowaną, nerwową kolorystyką Babi. Przyszła i urzekła. Zwyciężyła i nauczyła szacunku, zmusiła do zadumy.

### ALEKSANDER BAUMGARTEN

A jeszcze później, zapewne wtedy, gdy uległem tak często zdrażającej się wśród ludzi żyjących sztuce, niepojętej, niepotrzebnej gorliwości porządkowania wrażeń i nastrojów, jakby to one kiedykolwiek dawały się porządkować — i wymyśliłem sobie czy uchwalilem, że w literaturze radzieckiej można by wyróżnić kilka wyraźnie zaznaczających swoją odrębność okresów. A więc pierwszy, najbliższy Rewolucji, wcielający się w nią i przez nią inspirowany — nazwijmy go poetyckim czy romantycznym. Po nim nastąpił okres drugi, bardzo pojemny i trudny do sformułowania, który próbowałem określić jako osławianie rewolucji, wcielanie jej w życie, świadczenie jej — co z jednej strony niosło w sobie zarodki ilustracyjności, akompaniowanie rzeczom wielkim grą na lutni, z drugiej zaś strony sygnalizowało mie-

żny schematu czy jaskrawej dyktacji.

I wreszcie okres najnowszy, najciekawszy, który mi jakoś nie bardzo przystawał do poprzednich, ani genetycznie, ani emocjonalnie. Nad echem charakterystycznymi tego okresu, nad jego wciąż zmieniającą się strukturą zastanawiałem się najdłużej, najbardziej intensywnie. Może dzięki temu właśnie wtedy zrozumiałem, jak wale i niepewne były moje próby syntetyzowania spraw reprezentujących nie raz całe epoki, dla wtłaczania ich w jakiegokolwiek rozdział, choćby nawet te próby miały służyć zaspokojeniu własnej, prywatnej dociekliwości. Bo gdzie przy tego rodzaju, może nawet atrakcyjnych na pierwszy rzut oka uogólnieniach czy próbach systematyzacji zmieszczyły się tacy pisarze, jak wspomniani już Erenburg i Szyszakow, Wacławsław Szyszakow ze swoim „Pugaczowem”, a zwłaszcza z znakomitą, wciąż jeszcze u nas nie docenioną „Rzeką pośpą”, czy poetyckie, a przecież prozą pisane książki Priszwina o przyrodzie. Gdzie wtedy umieścić by należało jakże odmienne od siebie a wyrosłe z tej samej wspólnej pasji rozgryzania życia — poematy Twardowskiego czy Jewtuszenki.

A przecież nie tylko wzięty miała za sobą ta literatura. Jeszcze u sychyku 1961 roku pisali o tym radziecki krytycy, W. Dorofiejew i L. Nowiczenko w „Litieraturnej

Gazecie: Najpoważniejszym następstwem kultu jednostki w dziedzinie krytyki, tak samo zresztą jak w dziedzinie literatury pięknej, było osłabienie więzi z życiem narodu i zubożenie estetycznej istoty sztuki.

Zjawiska tego rodzaju nie ułatwiały spojrzenia na współczesną twórczość pisarską, na to, co nowe i wartościowe w literaturze radzieckiej. Na szczęście okres ten ma już ona poza sobą, jak o tym świadczą nie tylko nowe książki pisarzy radzieckich, nie tylko ich godna szacunku postawa mówiąca o pełnym troski i zrozumienia spojrzeniu na trudności wynikające z tego, że wypadło nam żyć właśnie w tak górnych i chmurnych czasach — ale i międzynarodowe triumfy młodych twórców radzieckich, zwłaszcza w dziedzinie poezji i filmu.

Dajmy sobie zatem spokój z systematyką. Z naszej strony potrzebna tu jest chyba dalsza żywa, a przede wszystkim życiwa uwaga. Bo coraz więcej nowego dzieje się u naszych wschodnich sąsiadów i sojuszników nie tylko w polityce, ale i w pełnym trudów i niepokoju świecie twórczości. Ich książki, książki naszych sojuszników w tym trudnym przeżywaniu współczesności, ich wiersze i powieści, ich filmy i kompozycje coraz częściej nas zaskakują. Są gwałtowne, burzliwe i inne. Nie inne niż przed pięćdziesięciu laty, ale inne niż przed rokiem

## Ludowość wysublimowana z prymitywu

**M**AM swoje, może subiektywne zapatrywania na pewne zjawiska literatury radzieckiej. Nakreślić więc w skrócie własne wrażenia i obserwacje z tej dziedziny. W wieku młodzieńczym, kiedy czytałem namietnie co popadło, nie mając pojęcia, że kiedyś zostanie pisarzem, natrafiałem przypadkowo na „Trzydzieści fajer” Illi Erenburga. Książka ta bardzo mi się podobała. Uderzył mnie sposób pisania autora, jakiś inny, oryginalny. Był tam duży ładunek rosyjskiego sentymentalizmu, zaprawionego ironiczną gorczycą, co odpowiadało mojemu usposobieniu. Zachwycony zacząłem szukać innych dzieł Erenburga. Znalazłem „Niezwykłe przygody Julija Jurenity”, „Cierpienia byłwca kawiarnianego”, „Fabrykę snów”. Dało to początek moim zainteresowaniom literaturą radziecką. W latach 1918—1925 istniało u nas mało przekładów z rosyjskiego: Gorki, Majakowski, Katajew, Leonow, Szolochow i bodajże to wszystko. Jeszcze Damian Biedny i Jesienin, którego wiersze wstrząsnęły mną do

głębi. Być może, iż pod wpływem tych wierszy zacząłem sam pisać i kiedy czytam dziś moje pierwociny, stwierdzam, że są to nieomal kopie, czy pastisze Erenburga i Jesienina. Pamiętam, że w miarę moich możliwości starałem się dotrzeć do dalszych książek radzieckich, choćby do oryginałów w językach rosyjskim, czy ukraińskim. Wracali z Rosji Polacy, a między nimi kolega, który przywiózł tomiłki wierszy Briusowa, Bloka, Gumilowa. Inny znajomy przywiózł kilka ulotek i jednodniówek wydanych przez rozmaite grupy literackie. W owych manifestach i pate-tycznych odezwach brzmiały nawoływania do zburzenia wszystkiego, co istniało w literaturze burżuazyjnej, o tym, że *samochód, czy maszyna winny stać się piękniejszymi od Nike z Samotraki, że żyjemy w okresie szybkości, żyjemy w absolu-ście, bośmy stworzyli wieczną, wieczną, wszechobecną chęć!* *Stoimy na ostatnim przylądku stulecia! Po co nam się oglądać wstecz właśnie dziś, gdy czas nam wylamać tajemnicze wrota Niemożliwości! Opiewać będziemy tłumy, których*

*motorem praca, rozkosz, lub rewolucja!*... W innym manifestie nawoływano do zupełnego zburzenia wszystkich dotychczasowych osiągnięć literatury rosyjskiej: *Wo imia naszewo zautra, soziem Rajaela, raztopczem iskustwa cwiety!*... Wyszukiwałem opowiadań naocznych świadków rewolucji w literaturze radzieckiej, plotek o tym np., jak to grupa Majakowskiego, Chlebnikowa, Kamińskiego w jaskrawych strojach i cylindrach na głowach chodziła na podobieństwo grajków po podwórku recytując swoje wiersze, o dziwactwach ówczesnych dekadentów, o romansie Jesienina z Izadorą Duncan. O gorących dyskusjach w zadymionych i przepojonych alkoholem knajpach literackich, dyskusjach kończących się nieraz bójkami. O kabaretach literackich różnych odcieni politycznych od tych czerwonych, do reakcyjnych wyszydających młodą władzę radziecką, błyskawiczne kariery, o głodzie, kolejkach i chaosie. Zapamiętałem refren z jednej piosenki: *I tak to w naszej żyjni, wso pierrepulatoł otczyni!*...

Po wojnie w latach 1948—1950

### IAN BRZOZA

opracowałem odczyt o tym okresie w literaturze radzieckiej i jeździłem z nim po Polsce. O różnych grupach literackich symbolistów, akmeistów, imażinistów, o popularyzacji, czy pisarzach z grupy proletkultu. Doprawdy aż się prosi o książkę opisującą ten jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny okres pierwszych lat rewolucji w literaturze radzieckiej. Przypomnieć nazwiska blyszczące wówczas niesłychaną popularnością, takich jak Pilniak, Awerczenko, Biedny, czy zapomniani dziś autor świętych komedii satyrycznych — Winniczenko.

Myślę, że literatura radziecka pierwszych lat rewolucji miała wielkie osiągnięcia formalne i wywarła wpływ na twórczość pisarzy całego świata. Osobliwie widzę to u Hemingwaya, Morawii, czy Malraux, widzę u wielu naszych pisarzy współczesnych. Przyniosła zupełnie nowe rodzaje literackie, jak np. reportaże literacki, czy faktomontaż sceniczny, nie mówiąc już o

osiągnięciach teatralnych Wachtan-gowa, Niemirowicz - Danczenki, czy choćby Meyerholda, lub filmowych Eisensteina, Dowżenki. Nie sposób tu wymienić szczegółowo nowości i inności literatury radzieckiej, przejmującego realizmu „Szo-sy Wołokolamskiej”, „Dni i nocy”, „Drogi przez mękę”. Uogólniając i upraszczając, można zauważyć jeden rys charakterystyczny literatury radzieckiej a mianowicie: ludowość. Ludowość wysublimowaną z prymitywu, oszlifowaną na wysoki polysk doskonałego języka literackiego, pozbawionego wszelkich gwar, narzeczy, volapików, czy ordynarnych wyrazów, lecz zachowującą świeżość w widzeniu świata.

Literatura radziecka przeszła burzliwą drogę wzlotów i upadków. (To też warto grubej książce anegdotycznej). Dziś, jak ja to widzę, nawiązała silnie do tradycji literatury klasycznych narodów Związku Radzieckiego. Mając takie podstawy stworzy nie tylko nowe wartości formalne i treściowe, ale, jak widać z zaobserwowanych zjawisk, powróci do najwłaściwszej dla literatury skromności i ballady. Moim zaś skromnym zdaniem proza Szolochowa i liryki Jesienina, które stawiam na szczycie literatury światowej, będą wskaźnikami na dalszej drodze rozwoju literatury radzieckiej.

## Chciałbym zobaczyć Melechowa

### BOGUSŁAW KOGUT

**N**A główne pytanie nie trudno mi odpowiedzieć. Już dwanaście lat temu w większym esesju na temat polskiej prozy poświęconej t.zw. tematowi wiejskiemu, drukowanym w „Twórczości” wyznałem, że z całej literatury radzieckiej najbardziej pasjonuje mnie i fascynuje koczownicza Szolochowa. Od tamtego czasu w literaturze radzieckiej miało miejsce wiele wydarzeń niepośledniego kalibru: Sołżenicyn, „autorewizja” Simonowa, młoda fala rozpoczynająca się od Tendriakowa, cała plejada poetów „dobrych i różnych” Niemniej moja fascynacja Szolochowem, szczególnie „Cichym Donem”, choć nie tylko — pozostała w mocy.

Rozumiem, że opowiadając się za Szolochowem narażam się na różnorakie przytyki. A to, że uznaję tylko wielkość już uznane (nawet nagroda Nobla), a to, że jestem raczej staroświecki w swym przywiązaniu do epiki, do klasycznego

realizmu, do rewolucyjnej roman-tyki, tak przecież niemiłosiernie eksploatowanej. Postaram się jakoś wytłumaczyć.

W roku 1952 uczestniczyłem w Moskwie w seminarium młodych pisarzy radzieckich poświęconym „Cichemu Donowi”. Pewien młody prozaiak z Gruzji występował namietnie przeciwko autorowi koczowniczej epopei. Szło mu o to, że kiedy Grigorij Melechow rąba czerwonych, to czytelnik jest uczulony po jego stronie. Jak pisarz komunisty może tak przywiązywać czytelnika do wroga rewolucji? — pytał młody pisarz. Powiedziałem wtedy, że bardzo chciałbym zobaczyć żywego Melechowa w jakiegokolwiek sytuacji. Z jakich powodów? Jako jedynego bodaj tragicznego bohatera literatury „socrealistycznej”. W wielkich dziełach tamtego czasu, n.p. w „Drodze przez mękę” Al. Tolstoja, nie brakło postaci bohaterów tragicznych. Ale byli oni w większym stopniu przedmiotem niż podmiotem historii, byli zdeter-

minowani bagażem swojej przynależności kulturowej czy nawet społecznej (klasowej). Ich wybór miał w sobie coś z uników, ich męczeństwo było bardziej produktem niż działaniem. Inaczej z bohaterami „Cichego Donu”. Grisza Melechow wybierał naprawdę. W miłości (Aksinia) i w walce. Nie przystosowywał się, kształtował swój los, tragiczny los wolnego człowieka nie chcącego ulegać niezrozumiałym koniecznościom, sprawom, do których nie był przekonany. Droga Melechowa biegnie zygakami i łamańcami. Ale nie ma w niej nic z szamotaniny strażnika czy samotnika, ten człowiek żyje pełnią życia, tragiczną lecz nie beznadziejną ani nawet bezradnie. Klęska Melechowa jest klęską głębszą niż przegrane wielu bohaterów współczesnej literatury powstającej w kręgu (bardzo szeroko pojętym) filozofii egzystencjalizmu. Ale

jest w tej głębokiej klęsce także jakiś sukces. Nie tylko historyczny (zwycięstwo rewolucji mimo strasznych jej kosztów) ale głównie jednostkowy, ludzki, właśnie egzystencjalny. Nie idzie o ewentualny (domyślny) dalszy los Melechowa, idzie o moralną wartość, a raczej wagę, tej postawy, tego modelu heroizmu, który można by nazwać ludowym, gdyby to słowo było mniej nadużywane przez wszelkich schematystów.

Melechowie załudzili literaturę co najmniej od czasów Szekspira. Tragizm wolnego wyboru, w działaniu nie w rezygnacji, to odwieczny problemat literacki. Ten problemat Szolochow przenosił na grunt historyczny i literacko zupełnie nowy, w miejsce gdzie rewolucja ludowa działa się w skali dotąd nie spotykanej. Mówiąc o skali mam na myśli zarówno polityczno-historyczne skutki wielkiej rewolucji jak i zakres jednostkowych, ludzkich doświadczeń. Wojen zycznych domowych było w historii bardzo wiele. Ale tylko jedna z nich sprostała doktrynie i celom, jedna oballła i pogrzebała coś ostatecznie, rozpoczęła coś istotnie i trwałe nowego. W stosunkach społecznych i — w konsekwencji — w ludzkiej naturze, bo już nie tylko w aktual-

nej świadomości. To Rewolucja Październikowa, czyli — wracając na grunt literatury — tragiczna wojna Melechowa.

Przywykliśmy mniemać, że o efektach wielkich wydarzeń historycznych decyduje trafność doktryny przede wszystkim. Pisarz znad Donu przypomina w sposób bardzo przekonujący, że historię tworzy człowiek w walce nie tylko o byt, ale o wierność sobie, o godność i ludzkość, tę najbardziej własną, postawą z więzi uczuciowych z najbliższą ojczyzną. I że to on, człowiek — a nie doktryna — wymierza i weryfikuje wartość i znaczenie procesów historycznych, ich humanistyczny sens.

Bardzo chciałbym zobaczyć Melechowa. W naszej literaturze nie brak bohaterów tragicznych — ale jakże często tragizm ten jest pozorny, czy nawet abstrakcyjny, nie adekwatny do zewnętrznej rzeczywistości, do historycznej sytuacji, tragizm wyobcowania, powiklanej psychiki, zahamowań i rezygnacji. Wiem, wiem, to nie tylko mody, to jakiś znak czasu o głębszej genealogii. Ale chciałbym zobaczyć nowego Melechowa — czyli tragizm nie daremny. Z czego nie powinno wynikać, że agituje kogokolwiek do tworzenia wielkich epopei.

## Nie w loży teatralnej

(Dokończenie ze str. 1)

co mnie otaczało, takim właśnie, jakim było naprawdę — w kształcie umilkłym i niewymownie pięknym.

Przepraszam za ten przydługi cytat. Nie mógłbym bez niego uzasadnić wpływu tego autora na mój warsztat pisarski, na kształtowanie się mego stosunku do otoczenia.

Mówiąc o Bablu, Erenburg ewokuje Hemingwaya, Caldwellę, Steinbecka. Być może dlatego, że jak i oni starał się pokazywać człowieka, a najmniej o nim mówić,

jak najmniej roztrząsać zawiłe sprawy tego życia w autorskich monologach.

Babel przypisywał ogromną rolę dialogom. Uczę się od niego tej sztuki, albowiem jestem przekonany, że o wartościach artystycznych utworu decyduje w dużej mierze dialog. Wielu młodych twórców położyło swoje interesujące utwory na skutek nonszalanckiego stosunku do dialogu. I odwrotnie łatwo przytoczyć przykłady, jak to zresztą, dobry dialog uratował niejed-

ną chałę. Na ogół dialog prowadzi nieuchronnie na scenę. Wodzililiśmy się za czuby, czy warto było wystawić „Zmierzył” Babi i gdzie go lepiej wystawiono: w Krakowie czy w stolicy. Znam wielu, którzy oglądali sztuki w obu teatrach, z sympatią, i przywiązania do Babi. Mam swoje zdanie, ale że utrzymuję dobre stosunki z kolegami z Warszawy, z drugiej zaś strony od lat należę do krakowskiego oddziału ZLP, nie kwapię się z publicznym wygłaszaniem swojej opinii.

Natomiast należy z naciskiem podkreślić, iż mimo krakania, mimo pesymistycznych procew, recepcja sztuki była wspaniała, a przecież wydawało się, że inny kolor, inne obyczaje, inna epoka, geografia — wszystko to powinno było zniechęcić współczesnego widza. Ba, a wartości artystyczne to pies? A humanistyczne walory sztuki, które się przecież nie ścierają w użyciu, „jak ubiór co sparł”. Ach, i jeszcze jedno. Babel pomaga mi w pracy z młodymi, którym zawsze powtarzam jego słowa usłyszane od Gorkiego:

Z całą oczywistością zostało wyjaśnione, że niczego pan szanowny nie zna, ale wielu rzeczy się domy-

śla... Ruszaj więc pan z tej przy-czynny między ludzi...

No i właśnie. Już ćwierć wieku między nimi siedzę. Czy siedzę? Sąsiadujemy o miedzę... Wszystko, co udało mi się jakoś skłecić, i m przeciw zawiądzęcam. Nie utyskuje, nie narzekam, że do stacyjki kolejowej siedem kilometrów, a do kawiarni na Krakowskim Przedmieściu dwieście siedemdziesiąt. Mam tu tylu wypróbowanych przyjaciół i mam możność oboować codziennie z żywymi ludźmi, bohaterami wspaniałych opowiadań Babi.

Waldemar Babinić

**R**OZPOCZĘŁA się „kampania szkolna” w publicystyce polskiej. Sprowokowała ją niejako reforma oświatowa, która właśnie przekroczyła próg szkół średnich. „Kampanie szkolną” zainaugurowali profesjonalni publicyści, przedstawiciele administracji szkolnej i „wolni strzelcy” różnej rangi, a więc ludzie nie zawsze dostatecznie obeznani z praktyką szkolną na jej najniższym szczeblu, decydującym o przydatności społecznej teorii pedagogicznych, programów i podręczników. Mikołaj Kozakiewicz kończy swój artykuł „O znak Q dla oświaty” („Życie Warszawy” 3-4.IX.1967) słowami zachęty:

Warto by nauczyciele — tak nieraz niechętni omawianiu spraw szkoły na forum publicznym, uciekali, że prasa nie jest ich przeciwnikiem tylko sojusznikiem, a ilość miejsca udzielanego sprawom szkoły i nauczycielstwa na jej łamach, jest jedynie miarą wagi i szacunku, jaki budzi ich odpowiedzialna praca.

Odpowiadając na apel publicysty „Życia Warszawy” pragnę w wstępie sprostować zawartą w przytoczonym passusie sugestie. Nauczyciele nie uważają prasy na swojego przeciwnika, lecz za nie zawsze pewnego sojusznika, który zajmuje się sprawami oświaty tylko okazjonalnie i zamiast zgłębić jej skomplikowaną problematykę doszukuje się w niej czasem pikantnych detali o posmaku sensacji. O tym, jak polska publicystyka jest mało zorientowana w sytuacji nauczycieli, świadczy opaczne tłumaczenie unikania przez nich wypowiedzi publicznych.

Reforma szkolna spowodowała szczególne ożywienie wśród polonistów licealnych, co można by uznać za akt szczególnie pozytywny, gdyby zdarzyło się to dwa lata lub przynajmniej rok temu, kiedy można było w jakimś stopniu wpłynąć na formowanie programów i podręczników nowego liceum. Niestety, wtedy głosów polonistów — praktyków nie chciano słuchać w dostateczny sposób. Rezultatem jest między innymi tymczasowy program języka polskiego dla kl. I liceum, który nie może być chyba uznany za wcielenie doskonałości. Brak miejsca nie pozwala na jego szczegółową analizę w tym artykule, dlatego przejdę do porządku dziennego nad wieloma słusznymi tendencjami programowymi i ograniczę się do zasygnalizowania kilku sprzeczności tkwiących bądź w samych założeniach programowych, bądź wynikających z konfrontacji tych założeń z empiriami szkolnymi.

1) Podstawą do formowania programu licealnego były zbyt optymistyczne prognozy dotyczące przygotowania naukowego absolwentów 8-letnich szkół podstawowych. Egzamin wstępny do szkół średnich wykazały niezbitnie bezpodstawność tych prognoz i tym samym postawiły pod znakiem zapytania to, co na nich pochopnie zbudowano.

2) Słuszna w swojej istocie tendencja nowego programu zmierza do daleko idącego ograniczenia wykładowej metody nauczania, która

przy swoich licznych wadach ma jedną wielką zaletę — pozwala w ramach jednostki lekcyjnej przeobrazić stosunkowo dużo materiału programowego. Stosuje się ją z konieczności w wypadku występowania szczególnego zagęszczenia materiałowego, które cechuje niewątpliwie przedławiany program kl. I. Polonista uczący w tej klasie będzie zmuszony albo wbrew nakazom ogólnym zredukować materiał programowy na rzecz pogłębienia wiedzy ucznia i pełnego rozwinięcia jego osobowości, albo przerobić cały rozdział materiałowy, rezygnując przy tym z bardziej nowoczesnych, lecz i bardziej pracochłonnych metod nauczania. Tertium non datur.

3) Możliwość stosowania nowoczesnych aktywizujących uczniów metod nauczania w nowym liceum powinna być poprzedzona badaniami naukowymi weryfikującymi stosowność i efektywność tych metod. Badania tego rodzaju skupiały się dotąd przede wszystkim na klasach matematyczno-przyrodniczych. Realizacja nowego programu liceal-

klasy z pięciu do czterech oraz utrzymanie w mocy zakazu dzielenia klas na grupy. Jak wiadomo, zakaz ten nie obowiązuje m.in. neofilologów, fizyków, chemików czy też nauczycieli zajęć technicznych. W konsekwencji wywołuje to zjawisko sztucznej nadprodukcji magistrów filologii polskiej i pauperyzacji polonistów na tle nauczycieli licealnych innych specjalności. Powoduje to z kolei reakcję łańcuskową. Najbardziej uzdolnieni humaniści szturmują bramy politechnik, a nauczycielami języka polskiego zostają nierzadko ludzie bez uzdolnień i zamiłowań humanistycznych uzupełniani garścią przysięgłych wielbicieli sztuki słowa.

Polonista licealny należy do najbardziej pracowitych ludzi w Polsce. Niejako z natury przedmiotu przez niego wykładanego wynika, że musi najwięcej czytać, najwięcej poprawiać prac pisemnych i w najwyższym stopniu udzielać się w ramach zajęć pozalekcyjnych. Nowe liceum wymaga od niego zwiększenia wysiłków, zajęcia fakultatywne

## Polonista w nowym liceum

STEFAN JERZY BUKSIŃSKI

nego będzie zatem mieć w pewnej mierze charakter eksperymentalny z nieodłącznym od niego ryzykiem.

4) Zwiększenie wymagań wobec nauczyciela i ucznia, które zdecydowanie zakłada nowy program j. polskiego, powinno iść w parze z doskonaleniem podręczników. Analiza „Literatury polskiej” przeznaczona dla kl. I prowadzi do smutnego wniosku, że podręcznik ten pod względem naukowym stanowi nie postęp, lecz cofnięcie się w porównaniu z dotychczasowymi (nie najlepszymi zresztą) podręcznikami starego liceum. Dowodzi tego w sposób jaskrawy m.in. omówienie „Konrada Wallenroda”. Jerschina w starym podręczniku poświęcił mu stron 10, gdy Komar w nowym podręczniku zbył wielkie dzieło Mickiewicza... półdzianową wzmianką.

5) Niemożność dokładnego przeobrażenia materiału programowego kl. I na lekcjach składania będzie niektórych polonistów do przesunięcia całego szeregu prac w ramy pracy domowej uczniów. Ponieważ analogiczne zjawisko wystąpiło także przy nauczaniu innych przedmiotów, może zaistnieć naruszenie podstawowych praw młodzieży do wypoczynku, co jest sprzeczne z elementarnymi zasadami pedagogicznymi.

W świetle omówionych faktów wypada uznać rok szkolny 1967/68 za początek niezwykle trudnego okresu pracy polonisty licealnego. Tylko on bowiem może „zamortyzować” błędy programów i podręczników, zniwelować mankamenty w przygotowaniu absolwentów szkół podstawowych i zadowolili wyższe uczelnie, obwiniające nauczycieli szkół średnich o niedostateczny współdziałanie w urzeczywistnianiu utopii rozszerzonych. (Polityka 3.IX.1967). Pomarzyć lubią nie tylko w stołecznej „Polityce”, ale i w lubelskiej „Kamieniu”, o czym świadczy artykuł Macieja Podgórskiego („Kupia nie kupia”, pomarzyć wolno” — „Kamena” 10.IX.1967).

W marzeniach młodego publicysty jawi się literatura polska w edycji licealnej bez brazownictwa i upupień, poszerzona o zjawiska współczesne i oglądana przez pryzmat metody marksistowskiej skrajzonej z metodą strukturalistyczną. Marzycielstwo Podgórskiego wbrew pozorom zewnętrznym nie jest obrazoburcze, ale w miarę grzeczne i konstruktywne. Dziwi jednak to, że publicysta nie dostrzegł, iż niektóre z jego marzeń stały się już tu i ówdzie rzeczywistością na długo przed wydrukowaniem nowych programów licealnych. Rozsądniejsi poloniści, a jest ich legion, już dawno przestali żywić odrzędo do poezji współczesnej i zerwali z tradycyjnym dualizmem treści i formy. Potrafiliby nawet jako tako przysposobić swych uczniów do studiów humanistycznych i sprawnego władania piórem, czego wymownym exemplum jest sam Maciej Podgórski.

Aby jednak w polemicznym ferworze nie minąć się z prawdą, należy stwierdzić, że powszechna konkretyzacja marzeń Podgórskiego w liceum dotąd nie nastąpiła, gdyż nie spełniły się jej wstępne warunki. O konieczności ulepszenia programów i podręczników już wspominałem. Nie mniej ważnym warunkiem postępu jest radykalna zmiana w sytuacji polonisty licealnego, która w nowym liceum nie zapowiada się świetnie: świadczy o tym obniżenie tygodniowego wymiaru godzin języka polskiego w

przyszłej kl. I poważnego podniesienia poziomu wiedzy o literaturze, sztuce i społeczeństwie. Postuluje to nie tylko program i Maciej Podgórski. Potrzebę intensywnego dokształcania odczuwa bez nacisków zewnętrznych większość polonistów, nie wszystkim jednak starcza niezbędnego czasu, siły i uzdolnień. Najbardziej cenną „odmianną gatunku polonistycznego” reprezentują doktoranci i doktorzy filologii polskiej, uhonorowani w jednym z artykułów min. Jabłońskiego. Zjawiskiem ujemnym jest za to klimat zawiści występujący wokół tych ofiarnych ludzi w niektórych liceach i w pewnych kręgach administracji szkolnej.

Efekty pracy polonisty licealnego zależą wydatnie od jego umiejętności organizowania własnych zajęć. Za podstawowy warsztat tej pracy uznano w ostatnich latach gabinet i pracownię polonistyczną w szkole. Urządzeniem ich zajmowali się sprzedający poloniści już w okresie międzywojennym, lecz dopiero w naszych czasach uznano je za symptom nowoczesności szkoły i zalecono do powszechnej realizacji. Literatura pedagogiczna nie opracowała należycie problemów pracowni i gabinetów polonistycznych, a twórcza praca nauczycieli nowatorów nie kształciła dotąd obowiązujących wzorców. Pospolite ruszenie polonistyczne tworzy warsztaty swej pracy szkolnej na zasadzie indywidualnej inicjatywy, na miarę indywidualnej pomysłowości, uzdolnień technicznych i środków finansowych, stosując przy tym najczęściej metodę chałupniczą.

Doceniając w pełni ten ofiarny indywidualizm sędzę jednak, że sprawa gabinetów i pracowni polonistycznych dojrzała już zarówno do opracowania naukowego, jak i rozwiązania praktycznego na skalę ogólnopolską. Pełne zrozumienie tego problemu znalazłem w rozmowach z przedstawicielami Instytutu Pedagogicznego w Warszawie i kuratorem lubelskim, dr Zachajkiewiczem. Wymyślenie gabinetów i pracowni polonistycznych oraz sposobów ich wykorzystania powinno być nie tylko rezultatem radośnej twórczości samouków, ale również wynikiem skoordynowanej działalności starannie dobranej ekipy fachowców, w której składzie widziałbym naukowców teoretyków, nauczycieli — praktyków oraz reprezentantów wytwórni urządzeń szkolnych i pomocy naukowych (ci ostatni od lat, jak wiadomo, lekceważą potrzeby polonistów). Ekipa ta powinna doprowadzić do stworzenia wzorców gabinetów i pracowni, opracować projekt pełnych zestawów pomocy polonistycznych, nadać im produkcji charakter fabryczny, a więc bardziej ekonomiczny, jednolity oraz doskonalszy technicznie od tego, na jaki dzień może sobie pozwolić nauczyciel — chałupnik. Dla niego pozostań w dalszym ciągu wielkie pole do popisu przy doskonaleniu i adaptowaniu do lokalnych potrzeb urządzeń typowych oraz projektowaniu nowych pomocy naukowych.

Sądy wyrażone w tym artykule nie są tylko moją indywidualną własnością. Podobnie myśli poważna część polonistów licealnych. Proszę przyjąć te sądy jako przejaw troski nauczycielskiej o szkołę, jaką mamy i jaką powinniśmy stworzyć na miarę naszych potrzeb i naszych możliwości.



Fot. Andrzej Polakowski

WIESŁAW SADURSKI

## o, kiedyż wreszcie...

o, kiedyż wreszcie spadną przyszłe deszcze!

oto naprzeciw jutrzejszej udręki  
kończy się dzień dzisiejszy —

trzeba go porzucić —

trzeba opuścić śmietniko pamięci,  
złote południa, zwiroteczne uśmiechy,  
trzeba pokochać nieznaną piosenkę

naprzeciw strachu jutrzejszego mroku  
na ustach — usta,

i nic nie rozumiem

z tego, co kocham w jutrzejszych wspomnieniach  
ale je trzymam w zaciśniętej dłoni

noc się rozróża na otartych wargach,  
jeszcze krzyk ptaka,

i słowa jak dreszcze,

ranią mnie daremnością uderzenia serca;  
o, kiedyż wreszcie

spadną przyszłe deszcze...

## W prosektorium

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

**U**ZBROJONY w atlas Spalteholza zagląbiałem się w osteologię. Studiowałem podręcznik anatomii normalnej człowieka — prof. Tonkowa. Stwierdziłem, że ciało ludzkie jest precyzyjnym i niezmiernie skomplikowanym mechanizmem, w którym każda najmniejsza nawet śrubka i miterka ma określoną do spełnienia rolę i niestety tak samo nazwę, którą przyswoił lekarz musiał sobie przyswoić w języku łacińskim i w danym wypadku — rosyjskim. Już sama nauka o kościach, która była dopiero pierwszym i najłatwiejszym stopniem wtajemniczenia w anatomię, łączyła się z wieloma setkami dwujęzycznych terminów. A cóż dopiero będzie później — stawy, więzadła, mięśnie... a wewnątrz i układ krwionośny i nerwowy? Toż nagromadza się dziesiątki tysięcy nazw i w tym labiryncie człowiek będzie się musiał nie tylko orientować, ale swobodnie o nim poruszać. Ale trudno, trzeba będzie przez to wszystko przebrnąć. Czaska jest obecnie najtrudniejszą. Właśnie „wypożyzyłem” ukryty pod płaszczem wspaniałego preparatu z wyciekłem odpiłowanym od kości ciemieniowych i czolowej, pozwalającym jak w pudełku otwierać wnętrze kryjące mnóstwo szczegółów, które trzeba będzie zapamiętać. „Wypożyzona” (na wieczne nieoddanie — przekazałem ją później gimnazjum chłopskiemu, a jakże! — przywozłem ten makabryczny skarb aż z Charkowa) czaska lśniła białoczą i dolną szczyłką miała przytwierdzoną sprężynkami. Ta, którą dobrze znałem w dzieciństwie, była inna: ojciec zachował ją z czasów

studenckich i na moja usłona prośbę pozwolił mi umieścić ją chwilowo na mym stole, przy którym odrabiałem lekcje. Otóż ta moja czaska była „uboższa”: kość barwy żółtej, nie miała wieczka ani „mandibuli”. Tatuś pokazywał mi w jej wnętrzu miejsce, które nazywał „słodkiem tureckim” i oto teraz jako medyk znów patrzyłem na tę „sellam turciam”.

Kolokwium z osteologii (moje pierwsze w życiu kolokwium!) składałem u asystenta prof. Somnera, sympatycznego prosektora Natiewa. Drzałem, żeby mnie nie zapytał z czaski, zwłaszcza z „os sphenoidale”, najbardziej skomplikowanej kości, ale uciechy latwym pytaniem: ile człowiek ma żeber, odpowiedziałem pochopnie: dwanaście, na co prosektor wrzasnął: — Co? Ile?! — Par, dwanaście par — uzupełniłem z pośpiechem. Dalej były pytania, dotyczące wyróżniających się odmienną budową pierwszego, drugiego i siódmego kręgu szyi. Mówiłem więc o „atlascie”, „epistropheusie” i „promieniscie”. Po tej odpowiedzi miałem już kolokwium zaliczone. Profesor Sommer zaczął wykład z syndesmologii, wtajemniczał nas w stawy i więzadła, z niecierpliwością czekaliśmy wszyscy, kiedy z tym skończy i przejdzie do splachnologii i miologii, z którymi się już wiązały ćwiczenia praktyczne na trupach.

Nadeszła wreszcie długo oczekiwana chwila. Zaopatrzyliśmy się uprzednio w fartuchy, skalpele i pesety — uniform i broń anatomów. Dwugodzinne ćwiczenia na trupach miały się odbywać co najmniej od 4 do 6 po południu, a w sobotę — od 12 do 2. Niezależnie od tego w dalszym ciągu

## LAUREACI KONKURSÓW

Jury II Konkursu Literackiego im. Józefa Czechowicza, obradujące pod przewodnictwem Artura Międzyrzeckiego, po rozpatrzeniu 112 prac nadesłanych z województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego, postanowiło przyznać Laur im. J. Czechowicza w dziedzinie poezji Zbigniewowi Strzałkowskiemu z Lublina za zestaw tekstów opatrzone godłami „Las”, „Klucznik”, „Koziołek”, „Zamek”.

Wyróżnienia równorzędne otrzymały zestawy tekstów Wiesława Kazaneckiego (godła: „Pustak”, „Szablono”) i Jerzego Kuryka z Lublina (godło „Steel”). W dziedzinie prozy Laur im. J. Czechowicza zdobył ex aequo Henryk Pajak z Lublina (godła „Wejście”, „Ściana”) i Zbigniew Strzałkowski z Lublina (godła: „Klon”, „Soplica”). Wyróżnione zostały prace Aliny Guzowskiej z Lublina (godło „Brzoza”) i Małdy Welny (godło „Zarnowiec”).

Jury konkursu literackiego z okazji XV-lecia Rozgłośni w Kielcach, obradujące pod przewodnictwem Waldemara Babinię, przyznało I nagrodę w kategorii słuchowisk Ruth Heniszowej z Wrocławia, I nagrodę w kategorii opowiadań Edwardowi Koczyńskiemu z Łodzi — wyróżniono pracę Zbigniewa Strzałkowskiego z Lublina „Odwiedziny”. I nagrodę za utwór poetycki otrzymał Bolesław Garbóś z Sandomierza.

Wszystkim laureatom gratulujemy!

— Przed wojną w ogóle nie istniały studia zaoczne, przystosowane dla osób, pracujących zawodowo. Obecnie odgrywa ona coraz większą rolę. Czy zastąpiłby Pan Rektor wyrażenie na ten temat swoją opinię?

— Ustrój szkolnictwa wyższego, charakterystyczny dla państw socjalistycznych, już z samego założenia przyjmuje studia dla pracujących. Widzę w tym dwa ważne aspekty. Indywidualnie — możliwość stalego awansu, perfekcjonizm w zawodzie, ujęcie dla wrodzonej każdemu człowiekowi ambicji. Społecznie, co jest chyba bardziej ważne — w nowoczesnych warunkach społeczeństwo musi być nowoczesne, czyli wykształcone, rozwojowi wiedzy muszą dotrzymywać kroku wszyscy, nowoczesność to nie tylko maszyny, ale i ludzie.

— Jak wygląda studia dla pracujących w kraju i w Lublinie?

— Chodzi tu o studia zaoczne, wieczorowe i eksternistyczne. W roku akademickim 1965/66 miały one łącznie w całym kraju 99.502 studentów, z czego na zaocznych ponad 58 tysięcy. Na ogólną liczbę prawie 252 tysięcy studentów studiów zaocznych, wieczorowych i eksternistycznych stanowił więc 40 proc. Na UMCS procent ten wynosi 35. Nasza uczelnia prowadzi te studia od dziesięciu lat, a Wyższe Studium Administracyjne prof. Sarda ma tu bardzo piękne osiągnięcia. Podobnie Wydział Rolniczy WSR.

— Wiele osób uważa, że dyplom studiów zaocznych jest mniej wart od dyplom studiów stacjonarnych.

— Wyż demograficzny dociera właśnie do wyższych uczelni. Większa część kandydatów nie dostaje się na studia stacjonarne, musi pracować, ale ma otwarte drzwi do wyższej uczelni. W dyplomach nie ma żadnej różnicy, wartość absolwentów jest jednakowa. W stosunku do ZSRR, Anglii czy USA, na studia dzienne przychodzi u nas młodzież o rok czy dwa lata za wcześnie, nie jest w pełni dojrzała przechodząc prosto z ławy szkolnej do wyższej uczelni. Gdy pracuje już dwa lata, inaczej traktuje studia.

— A perspektywa studiów dla pracujących?

— Sprawa proporcji do studiów stacjonarnych w ogóle jest jeszcze dyskusyjna, ale w naszych warunkach trzeba studia dla pracujących dalej rozwijać. Trzeba także zwiększyć niż dotychczas elastyczności w stosowaniu różnych form tych studiów, oczywiście uważam, że należy przywrócić wszystkie dawne formy studiów eksternistycznych i szukać nowych. Ministerstwo daje tu duże możliwości. Rzecz sprowadza się nie do przepisów, ale do dynamiki uczelni, która w tej dziedzinie ponosi szczególną odpowiedzialność. (dest).

niach. Skłodowski wziął na siebie główny ciężar troski o szybką realizację tej niezbędnej podówczas dla Lublina inwestycji: wywalczył lokalizację, postarał się o materiały budowlane, o wykonawców (których trzeba było sprowadzić aż z Warszawy), zatwierdził stopy korespondencji. W ciągu osiemnastu miesięcy gmach szkoły był gotów i po uporaniu się z przeprowadzką szkoła niebawem udośćpiała swoje podwoje pod pierwszą w Lublinie wystawę ruiniczo - przemysłową — będącą wtedy doniosłym wydarzeniem.

W roku 1882, teraz już jako radca stanu, przeszedł Józef Skłodowski na emeryturę, spiesząc się z wyjazdem — według słów jego następcy — i „o czasie najprzekrzyszniej, którego samo wspomnienie przeraża”. Przedwezne przejście na emeryturę wiąże się

z pewnością z patriotycznymi manifestacjami młodzieży lubelskiej w latach 1861—1862, za które czyniono go odpowiedzialnym. Pozostawił ośrodek naukowy, dydaktyczny doskonale postawiony, z ustaloną rangą w kraju. Do jego wychowanków, poza wspomnianym już Prusem, należały także wybitne indywidualności jak: Aleksander Świętochowski, Julian Ochowicz, Bronisław Znatowicz, Eugeniusz Dziełowski, Gustaw Dolński, Henryk Wiercieński i inni — matematycy, fizycy, lekarze, historycy, publicyści, których rola w polskim życiu umysłowym, w kształtowaniu jego postępowych idei i poglądów jest znana.

Ostatni okres życia spędził Józef Skłodowski w podlubielskich Zawierzykach, które dzierżył jego bliski krewny, Ksawery Skłodowski. Z siedmiorga dzieci, którym nadał wiele mówiące imiona: Władysław, Bolesław, Bronisława, Wanda, Przemysław, Zdzisław, Wisława — najstarszy syn poszedł w jego ślady zarówno co do kierunku studiów jak i zawodu, córka Bolesława była znaną kurierką oddziałów powstańczych, syn Zdzisław — prymus uczeń gimnazjum lubelskiego — również uczestnik powstania styczniowego, zrobił doktorat na wydziale prawa uniwersytetu tuluskiego. Najmłodsza wnuczka — Maria — ukochana „Anelucjusz”, odwiedzała Zawierzyce i zapewne zadawała o Lublin pełen pamiętek, że szkoła, w której pracowała znajdowały się fascynujące ją od dzieciństwa przyrządy fizyczne. W tych kontaktach szukała naley warunków charakteru i kariery uczonej, która potem tak swobodnie gawędziła z Einsteinem o niedostępnym dla zwykłego umysłu tajnikach wiedzy.

Zmarł Józef Skłodowski w Zawierzykach w dniu 21 sierpnia 1882 roku, przeżywszy lat 78. Pochowany został w grobowcu rodzinnym na cmentarzu parafialnym w Kijanach.

szając jego roczną esycyturę profesorską. Biblioteka stała się najważniejszym zakładem naukowym szkoły, dzięki któremu mogła ona przeżywać swój renesans. Tym więcej, że i w ustalaniu profilu zbiorów dala znać o sobie przyrodnicze zamowienia dyrektora.

Z równą pieczołowitością odmiał się on do pozostałych spraw szkoły. „Niech się ta pamiętka po mnie dla gimnazjum lubelskiego zostanie — pisał — że inwentarze wszelkich własności tegoż gimnazjum nie tylko uporządkowałem i przerobiłem na nowo, ale że i ja nawet własnoręcznie mundowałem”.

Zasłużył się dla niej i pod innym względem. Jako dyrektorowi gimnazjum podlegały mu przez dziesięć lat wszystkie szkoły średnie i elementarne w całym województwie lubelskim. Otóż szkolnictwo temu starał się on usilnie zapewnić kadry. Organizował w drodze powo-

ływania odpowiednich komisji egzaminacyjnej dla osób kształcących się prywatnie. Poddawali się im kandydaci na nauczycieli elementarnych szkół prywatnych i państwowych, na korepetytorów domowych, także kandydaci do zawodu aptekarskiego. 150 osób, które w ciągu tych lat uzyskały patent, wydaje się jak na owe czasy liczbą niemałą.

W roku 1845 powstała w Lublinie szkoła realna. Mieściła się pod tym samym dachem, co gimnazjum i związana była z nim unią personalną — mianowicie Skłodowski był także dyrektorem tej szkoły. Ukończył ją między innymi Bolesław Prus, wynosząc z niej znaną powszechnie fanatyczne zamowienie do nauk ścisłych, a wspominając te czasy z właściwym sobie humorem: „staruszek gęsto szałab mnie do kości...”

Za kadencji Józefa Skłodowskiego wzniesiono przy ul. Namiestnikowskiej (dziś Narutowicza 12) nowy gmach szkolny z pensjonatem na sto osób. Z polecenia kuratora, Pawła Muchanowa, projekt budynku opracował znany architekt warszawski, Julian Ankiewicz, na wzór jednej ze szkół stołecznych, zwanej Instytutem Szlachekim. Projekt ten przysłał dyrektorowi do oceny, a on poczynił w nim liczne i istotne z punktu widzenia potrzeb szkoły i środowiska uwagi. Następnie tajny radca Muchanow mianował Skłodowskiego członkiem Komitetu Nadzoru Budowy w przekonaniu, że „dyrektor, powołany jedynie do pomocy przy budowie, do ścisłego wykonywania poruczonej Komisji czynności usilnie przykładać się będzie”. Kurator nie zawiódł się w swoich oczekiwa-

Stefana Świdierskiego i mojemu znalazł się w Charkowie i tak samo na medycynie, albo kol. Czuczewski czy Rytel, czy Edmund Woroniecki, który potrafił się najlepiej dopasować do naszej zgranej paczki. Kiedyś sfotografowaliśmy się wspólnie w prosektorium przy naszym trupie: na jednym zdjęciu student — Polacy z naszego kursu — sami, a na drugim — z profesorami. Trzy czwarte medyków to wraz z naszą paczką ci właśnie wymienieni z nazwiska, kilku nie mogę niestety zidentyfikować, ale nie utrzymywaliśmy z nimi bliższych stosunków, bo nie brali udziału w życiu organizacyjnym młodzieży akademickiej. A profesorzy — to Woroblow, który na drugim roku zajął miejsce profesora Sommera, podobno usuniętego, jako Niemca, i sympatyczny prosektor Natlew. Niestety Woroblowa w binoklach i z sumiastymi wąsami nie mogę tym epitetem obdarzyć: na ogół nie lubiano go, był ostry, dość lekceważący w obęjęciu ze studentami, chętnie zaglądał do kieliszka, koleżanki traktował ironicznie (uczył też na Wyższych Żeńskich Kursach Medycznych) i lubił im przy egzaminach zadawać prowokujące pytania z anatomii organów płciowych.

Tak więc praca w prosektorium wcale mnie od medycyny nie odstręczała, zastosowałem się do rady Natlewa i nie brzydziłem się trupów, nie korzystałem z gumowych rękawiczek (w naszej grupie używał ich tylko Zygmunt), a nawet nie paliłem papierosów, jako antidotum przeciwko zapachowi formaliny, którym pracownia była przesiąknięta. W ogóle palić zacząłem dopiero w kilka lat później i to okresami, a na dobre przyzwyczailem się do papierosów dopiero po drugiej wojnie światowej; zerwałem bezwzględnie z tym skodliwym i absurdalnym nalogiem stosunkowo niedawno, bo przed czterema laty.

Kolokwia z anatomii odbywały się na miejscu po wykończeniu każdego preparatu. Prosektor był

owni naukowych, zaniedbany i zdekompletowany księgozbiór biblioteczny, wieloletnie luki w podstawowej dokumentacji tegoż księgozbioru jak i pozostałego majątku szkoły, wreszcie gmach — nie nadający się do dalszego użytku, wymagający szybkiego i gruntownego remontu...

Z właściwą sobie skrupulatnością oceniał Skłodowski sytuację, bez zwłoki przystąpił do dzieła naprawy i wkrótce osiągnął zamierzony efekt. Z wielu jego zasług dla gimnazjum lubelskiego, na czoło wysunąć należy te, że podniósł na niebywały dotąd piedestał nauki przyrodniczej, co pociągnęło za sobą doniosłe konsekwencje, w późniejszych latach wywierając nawet wpływ na prąd umysłowy w Polsce i stosunek do praktyki codziennego życia. Jego pierwszą czynnością po objęciu stanowiska było zwiększenie liczby nauczycieli fizyki i matematyki, Jakub Danielski, Józef Łapiński, Julian Doborzynski, Aleksander Tołwiński, Ludwik Wasilkowski — należą w tych latach do wybitnych w kraju przyrodników, fizyków i mate-

matyków. Zjednując ich dla szkoły Skłodowski podniósł tym samym jej znaczenie.

W gimnazjum zapanowała atmosfera surowości i powagi. Na każdym kroku dawano o sobie znać wysokie wymagania intelektualne i moralne przelozonego. Jego autorytet wśród podwładnych i młodzieży był niezachwiany, a wynikał z podziwu i miłości. „Był to człowiek wielkiej duszy i serca — powie o nim po latach jeden z jego wychowanków — niezapomniany kierownik młodzieży i wielki jej przyjaciel. Jako zwierzchnik umiał utrzymać rygor u szkole, umiał kierować wychowaniem młodzieży, która go milowała i słuchała bezwzględnie. Zjednując jej serca wyrozumiałością i patriotyzmem, który potrafił przejawiać i przełać na uczniów”. A inny napisze, że „Skłodowski godzinami jako wzór kierownika szkoły średniej, dla którego młodzież miała cześć i miłość batwochwalczą niemałą”. Za jego czasów szkoła doszła do rozkwitu.

Drugą namiętnością Skłodowskiego była książka. Bibliotekę szkolną otoczył szczególną troską i staraniem, co nie było prostym spełnianiem obowiązku. Z jego uwag i działalności w tym zakresie wnioskować można śmiało, że nabył również teoretycznej znajomości zagadnień bibliotekarskich. Pochłoniął go szkolny księgozbiór na długie lata. Cofnął się aż do początków jego powstania usiłując się rozpatrywać w istniejącym balaganie. Przerabiał i przepisywał od nowa inwentarze i aneksy do nich, on również sporządził pierwszy katalog kartkowy i nie ma w źródłach śladów, by mu ktośkolwiek przy tym pomagał. Był cofnął się przed niemi, by odzyskać utracone egzemplarze. Nawet emerytura nie była w tym wypadku dla niego rzeczą świętą. Doświadczył tego Łukasz Konewicz. Za braki w księgozbiórze wyniły w okresie, kiedy sprawował funkcje bibliotekarza, obciążono go kwotą 636 rubli, suma przewyż-

szająca jego roczną esycyturę profesorską. Biblioteka stała się najważniejszym zakładem naukowym szkoły, dzięki któremu mogła ona przeżywać swój renesans. Tym więcej, że i w ustalaniu profilu zbiorów dala znać o sobie przyrodnicze zamowienia dyrektora.

do nas (całe szczęście!) ciemieniem. Patrzyłem na ten żalony widok: należała, jak można było wnioskować po resztkach włosów, do mężczyzny. Ten człowiek niedawno jeszcze — może przed tygodniem — mógłbym tej głowie myślał, jej oczyma patrzył na świat, ustami może się uśmiechał do bliższych mu osób, a zębami gryzł pokarmy... Dziś ta makabryczna pilka leży przed nami, a my beznadziejnie patrzemy na nią, nie wiedząc, co mamy zrobić. Preparować — to znaczy przy pomocy skalpela odsłonić i oczyścić od tkanki łącznej i tłuszczu coś w tej głowie. Ale co? Właśnie zbliżył się do nas prosektor mówiący, że mamy preparować larynx. Musimy przez odpowiednie cięcie dostać się do wnętrza i oczyścić je tak, by odsłonić wejście do krtańi, nagłośnię, przelyk itd. — Zrobicie wam początek, — powiedział i zabrał się do roboty. Po paru minutach wiedzieliśmy już dobrze, o co chodzi, jak mamy (oczywiście nie wszyscy jednocześnie) operować skalpelem i pęsetą. Zainteresowała mnie ta praca. Satisfakcję sprawiło stwierdzenie, że to, co po zrazu nieprzyjemnym (wkrótce się z tym oswoilem) oczyszczeniu preparatu stopniowo ukazywało się oczom, zgadzało się z obrazem w atlasie anatomicznym, że miało swoją określoną nazwę i że teraz zgodnie z topografią na zdjęciu w książce należało się z kolei zabrać do odsłonięcia miejsc sąsiednich. Zwłaszcza interesujące i stosunkowo nietrudne było preparowanie mięśni. Za to oddzielenie poszczególnych naczyń krwionośnych a zwłaszcza nerwów wymagało wiele cierpliwości i precyzji, gdyż cienki narząd łatwo było uszkodzić.

W składzie naszej czwórki następowały czasem zmiany: Świdierski niekiedy wyjeżdżał do Orszy, dokąd się z Sum przenieśli jego rodzice z bratem. Wtedy ktoś inny przystępował do naszej grupy i staraliśmy się, żeby to był Polak, a więc Masuliewicz, dawny kolega ze starszych klas gimnazjum chełmskiego, który ku zdziwieniu

**B** ADAJĄC przez dobrych parę lat materiały archiwalne, dotyczące Gimnazjum Gubernialnego Lubelskiego, natknęłam się na niezwykle ciekawe dokumenty, świadczące o pierwszych związkach sławnej rodziny Skłodowskich z Lublinem. Myślę, że w roku setnym od urodzin wielkiej uczonej warto odgrzebić te fakty, przydadzą nam się miastu splendoru.

W zabytkowym kompleksie architektonicznym na Starym Mieście, przy ul. Jezuickiej (obecnie Trybunańska 13) mieściła się przez parę wieków wspomniana placówka oświatowa, która początkami swymi sięgała czasów odległych i ulegała w trakcie dziejów różnym, niekiedy bardzo istotnym przeobrażeniom. W pewnym okresie światłe społeczeństwo lubelskie nazywało ją nawet instytutem naukowym. W jej gronie nigdy nie brakowało ludzi, umiejących godzić obowiązki dydaktyczne z działalnością naukową i społeczną. Na stanowisku dyrektorów przewinęło się szereg postaci, jak: Andrzej Smółkowski, Ignacy Neuburg, Daniel Truskolaski, Kazimierz Nachajewicz — o nieprzemijającym znaczeniu nie tylko dla Lublina. W jej historii były również momenty zaślony, związane z administrowaniem przez osoby nieudolne, nie przejawiające dostatecznej troski o powierzone im dzieło.

Bezpośrednio po takim niefortunnym dwunastolecu, to jest 1 lutego 1851 r., funkcję dyrektora gimnazjum lubelskiego obejmuje człowiek z wieloletnim doświadczeniem pedagogicznym, radca kolegiálny, Józef Skłodowski. To ten sam, o którym Ewa Curie w swej znanej książce o matce napisze po latach, że „miał szczerą pociąg do nauki”.

Józef Skłodowski urodził się we wsi Skłody w ziemi tomyńskiej na początku dziewiętnastego wieku. Wywodził się z drobnej szlachanki wsielczy, niegdyś zamężnej, ale wówczas uprawiającej już tylko drobne kawałki ziemi i trudniacej się nawet rzemiosłem. Ufałac swoim zdolnościom postanowił szukać kariery w mieście przez zdobycie wykształcenia. W latach 1826—1827 studiował na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego nauki przyrodnicze, zdobywając równocześnie świetną znajomość kilku języków, by następnie poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu. Uczył w Białej Podlaskiej, w Warszawie, w Kielcach (tu 20 października 1832 r. urodził się jego najstarszy syn, Władysław, ojciec Marii Skłodowskiej-Curie), po raz drugi przeniósł się do Warszawy, potem znalazł się w Łomży, w Łukowie, dość długo przebywał w Siedlicach — początkowo na stanowisku inspektora a następnie p. o. dyrektora tamtejszego gimnazjum, dopóki nie zostało ono przekształcone na powiatową szkołę filologiczną.

Początki lubelskie Józefa Skłodowskiego były trudne i skomplikowane, wymagające odwagi osobistej i zręczności w postępowaniu z władzami. Jego poprzednik, Jan Kaulbars, doprowadził szkołę do kompletnej ruiny, czego nowy przełożony nie ukrywał w swoich sprawozdaniach. Rozluźnienie dyscypliny wśród uczniów i profesorów, brak odpowiadającego ówczesnemu poziomowi wiedzy wyposażenia pra-

trwały normalne wykłady z anatomii. Już sama ilość czasu poświęcony na naukę świadczyła, jak ważna jest ona w studiach lekarskich. Trzeba przecieć najdokładniej poznać teren, na którym wypadnie się poruszać.

— Nie bez emocji zeszliśmy na dół do prosektorium, które już znaliśmy z pamiętnego pierwszego dnia naszej wizyty w Teatrze Anatomicznym, kiedy prof. Sommer oprowadzał nas po całym gmachu. Wiedzieliśmy, że podzielił nas na grupy i utworzyliśmy własną, zgranną już czwórkę: Zygmunt Grafiński, dwaj Stefanowie (Pac i Świderski) i ja. Każda grupa miała stół z marmurowym blatem, nad którym wiszała się lampa elektryczna, a na nim jakąś część ciała ludzkiego, którą trzeba było preparować. Ciekawymi byliśmy niezmiernie, co też tam dla nas przygotowano. Prosektor zwrócił naszą uwagę na konieczność zachowania czystości przy pracy. A więc części ciała ludzkiego usuwane przy preparowaniu trupa należy wrzucać do specjalnej miseczki znajdującej się na każdym stole i uważać, by nie spadły na podłogę. — Pamiętajcie, że wasza praca naukowa nie jest profanacją zwłok, gdyż służy walce ze śmiercią; lekceważąc odnośnie do martwego ciała jest niemoralne i czynne. Pracować, jak już widać, trzeba w fartuchach, Paźnokcie obciąć do skóry, w razie skażenia się skalpelem natychmiast ranke zajądynować: trumad jad mógłby wywołać zakażenie; w tych szklkach znajdziecie wate, bandaże i środki dezynfekcyjne; kto nie potrafi inaczej, może pracować w gumowych rękawiczkach, ale gołe ręce działają sprawniej. Nie trzeba się brzydzić: dzięki formalinie ciała są dobrze zachowane. Wolno palić. Czy już potworzyliście trupy?

Przy jakichś trzydziestu ponumerowanych stołach stanęły czwórki. Na naszym czekała na nas... głowa. Niesamowicie to wyglądało: głowa odcięta od tułowia, jakby spadała z gilotyny, umieszczona w drewnianym imadle i odwrócona

# W DWÓCH TEATRACH

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

## „Cyrulik sewilski”

**J**EŻELI wyznam (nie bez melancholij), że moje kształcenie estetyczne zaczęło się przed pierwszą wojną światową, wtedy zaczęła się laskawy Cystelnik przypuścić, iż nie raz i nie dwa miałam sposobność słyszeć „Cyrulika sewilskiego” w wykonaniu różnych znakomości. Tak też było w istocie. Młodymi innymi przelotnymi słyszałam Battistiniego w partii Figara, Szalapa jako Don Basilia, Adę Sari — Rozynę. Natomiast — proszę mi jeszcze uwierzyć — nigdy nie widziałam „Cyrulika” granego w całości tak dobrze, tak swobodnie, tak wesoło, jak na niedawnej premierze w Teatrze muzycznym miastującym się Państwowa Operetka w Lublinie. Oczywiście to osiągnięcie jest przede wszystkim zasługą reżysera spektaklu, Józefa Grubowskiego, jego asystentów (Bernard Ładysz, Henryk Łabuński) i innych współpracujących z nim artystów, ale kto wie, czy nie zadziałał tu odrobina genius loci, duch opiekunicy owej Operetki, gdzie można było zrezygnować z operowego namaszczenia. Doskonale śpiewane, lecz bez celebrowania wokalnego, arie i ansamble Rossiniego ujawniły w tutejszej interpretacji cały swój dowcip muzyczny. Myślę, że sam Rossini byłby zadowolony z takiego wykonania, on, który tworzył niejako na przekór poprzedzającym go klasykom — nieomal parodystycznie.

Wyżej powiedziane nie znaczy, bym namawiała do wystawiania „Cyrulika” z reguły w teatrach operetkowych, niemniej twierdze, że dyr. T. Chabros i J. Grubowski (w charakterze kierownika artystycznego Operetki) dobrze się zastępowali Lublinowi pomysłem otwarcia sezonu za wszelką cenę (chyba w dosłownym znaczeniu) i arcydzielną pozycję ze świetnymi śpiewakami w partiach głównych.

Oceniać Bernarda Ładysza jako Basilia z okazji występów w Lublinie byłoby prawie nietaktem. Bogactwo jego środków wokalnych, perfekcja interpretacji muzycznej, werva aktorska zyskały mu już światową renomę. Jest rzeczą jasną, że udział Ładysza w inscenizacji „Cyrulika sewilskiego” dodaje jej niemal splendoru.

Alie nie koniec na tym. Kierownictwo Operetki zadbało także o należyte wykonanie partii Almavivy.

Tak się złożyło w okresie powojennym, że większość moich wieczorów warszawskich pochłaniała teatry dramatyczne, jestem raczej rzadkim gościem na widowni Teatru Wielkiego. Tym przyjemniej mi było usłyszeć solistę tej sceny Zdzisława Nikodema w lubelskim przedstawieniu „Cyrulika sewilskiego”. Z Nikodemem to bardzo atrakcyjny Almaviva. Już w kantylenie słynnej arii tenorowej i aktu czaruje on pięknym timbrem



Bernard Ładysz (stoi) i Jan Krzysiak

Fot. Grażyna Wyszomirska

głosu, a w drugim obrazie, w domu Bartola, daje poznać swój talent aktorski grając podpiętego pseudożołnierza zabawnie, lecz z artystycznym umiarem.

Również gościnnie wystąpił w trudnej partii Figara Feliks Galecki, który stanął na wysokości zadania zarówno pod względem wokalnym, jak komediowym. Popisową arie najznakomitszych barytonów wykonał Galecki z należytą brawurą, dając sobie radę z jej karkołomnym tempem. W sumie stworzył postać niemiłą, dla której chciałoby się jeszcze tylko tego nieuchwytnego fluidu, jaki robi niekiedy z barytona (zwłaszcza w postaci Torredora) bożyszczę tłumów. Takim bożyszczem jest obecnie Musiła Magomajew, którego zaprezentowała niedawno w krótkim recitalu telewizyjnym. Ale wierzę, iż „fluidy” są w aktorstwie też do nabicia jak inne zalety z chwila, gdy śpiewak już na troskę o technikę wokalała prawię zupełnie poza sobą (choć całkowicie nie mieć tej troski nigdy nie można).

Wiele komplementów należy się Alicji Hortyńskiej jako śpiewaczce o silnym sopranie dramatycznym, która jednak pokonała z precyzją koloraturowe florytury słynnej arii „Una voce poco fa” (nie pamiętam tekstu przekładu), z tym że oczywiście partia Rozynę wymaga innej barwy głosu. Bez zarzutu wypadła „Danza” Rossiniego na lekcji śpiewu. Cieszy mnie, że dyrekcja Operetki zapowiedziała wystawienie „Madamy Butterfly” (coż za końcówka!), gdzie p. Hor-

tyńska będzie się czuła jak najbardziej w swoim żywiole. Ale i Rozyna lubelskiej artystki — trzeba jej to przyznać — poruszała się na scenie ze swobodą i gracją.

Zasłużony sukces złożył w roli śmieznego doktora Bartola także lubelski artysta Jan Krzysiak, mający w II akcie swój popisowy, że tak powiem, moment wokalny. Kulturowo zabrzmiła w wykonaniu Leokadii Ładysz arietka Bertie (Marceliny). W drugiej odsłonie usłyszymy lubelską śpiewaczkę Zofię Bronikowską.

Wszystkie epizody powierzono rzecz prosta miejscowym artystom, wykonali je dla dobra sprawy: Paweł Wojtczak, Jerzy Ambrozjak, Janusz Dytkowski i Krzysztof Kruczek.

O orkiestrze najprawdziej słowo mogłoby powiedzieć śpiewacy. Otrzymała ona po uverturze reszta brawa, ale nie podejmując się rozliczenia, ile tych aplauzów przypada na konto dyr. M. Lewandowskiego, ile zaś należy się elektryzującym rytmem Rossiniego. Faktem jednak jest, że ansamble były całkiem zwawe i miały brzmienie czyste.

Dekoracje Zofii Kowalskiej-Otto stanowiły dyskretne tło dla akcji, kostiumy (wielu projektów i za belli Konarskiej) harmonizowały z dekoracją.

Warto też wspomnieć o starannie opracowanym programie (redakcja — mgr Anna Kutermankiewicz, opracowanie graficzne — Włodzisław Borowski), a szczególnie o ciekawej wystawie pt. „Opera i śpiewacy polscy”, zorganizowanej staraniem właściciela eksponatów, Józefa Grubowskiego, w sali przy Bibliotece im. H. Łopacińskiego. O tej wystawie powiem niebawem więcej na innym miejscu.

Coś się jednak i zyskuje na takim potraktowaniu utworu. Nawet niemamo się zyskuje. Nie rozpraszając uwagi widza na akcesoria historyczne, pozwól jej reżyser skupić się na genialnym rysunku postaci i na wspaniałych sytuacjach dramatycznych stworzonych przez Słowackiego. Ocalił też od zagubienia wszystkie klejnoty dialogu.

Jednym z sukcesów reżyserskich jest przekonanie Aleksandra o drze. Ale tego do nowej koncepcji postaci Włodędy, ze znacznym wyciszeniem w akcie I i kunsztownym crescendo namletności w miarę wikłania się akcji. Odmienne od dawnego ujęcie roli przyniosło artyście powściągliwe użycie.

Również korzystnie jest w dawnej inscenizacji wypadł w roli Króla Stanisława w Ojca i córki. Te światło oświetlało talentowanego aktora i tłumaczyło się zapewne po części dojrzałością, która przyszyła z biegiem lat. Ujawniła ją zwłaszcza kunsztowne komedienne zacięcie scen z Mazepą w akcie I.

Inne role pierwsoplanowe obsadzono nowymi aktorami.

(Dokończenie na str. 11)

# NIE TYLKO UZDROWISKO

ROMUALD WIŚNIEWSKI

**W**BUSKU rzucił mi się w oczy lokal PTTK. Afisze wywieszane w oknie zachęcały do wyjazdu do Bulgarii, Rumunii, Jugosławii, na Węgry i na Kaukaz. Tylko wejść i zapłacić, resztę załatwi PTTK. Były nawet miejsca do Chin, na Wyspy Kanaryjskie i w rejon Koralbów. Spytalem, czy PTTK mogłoby mi załatwić miejsce kuracyjne w samym Busku, Młody, sympatyczny człowiek powiedział „niestety nie” i bezradnie opuścił ręce.

A w ogóle dostać się do Buska nie było łatwo. W Staszowie drogowskazy na krańcach miasta pokazywały kierunek na małe miejscowości: Grzybów, Bogorów i Sołec, natomiast nie pokazywały Buska. Pierwsze kroki na miejscu też nie były pomyślne. Poszukiwanie noclegu w hotelu, pensjonacie lub nawet prywatnie okazało się zadaniem nie do zrealizowania. W „Zdrojowej” gdzie chciałem zjeść obiad, musiałem długo czekać na miejsce, ponieważ stołują się w czasoswieżce z FWP i oni mają pierwszeństwo. Pojechałem do śródmieścia. Wokół Ryńku, nazywanego się dziś Placem Zwycięstwa, stały grupki młodych mężczyzn. Poprosiłem jednego o ogień i spytałem, co się stało? — Nic, co się miało stać? — A dlaczego tyle osób stoi? — A co mamy robić? — odpowiadał pytaniami na pytania. Zanim więc zdążyłem rozpałkować się i zabrać do zbierania potrzebnych mi wiadomości, miałem już sygnały spraw, z którymi przyjdzie mi się spotkać. No i wiedziałem o istnieniu uzdrowiska — też duży temat, a może nawet główny.

Czym właściwie byłoby Busko uzdrowiska? Niewiele jest chyba osób, które potrafiłyby wymienić z pamięci wszystkie powiaty w Polsce. Gdyby nie uzdrowisko mało kto słyszałoby o Busku. Terytorialnie powiat jest duży (1274 km kw.), mieszkańców ma też sporo (117 tys.), lecz z tego zaledwie 12 procent mieszka w miastach i osiedlach. Reszta to wieś, i to wieś o wieloletnich zaniedbaniach gospodarczych, niełatwych do odrobienia. Przez długi okres Busko leżało na granicy zaobrotów, a zatem na marginesie zainteresowań władz. Nie powstał tu żaden przemysł, nie rozwijała się sieć kolejowa. Do dziś są tam właściwie tylko dwa zakłady przemysłowe, oba przetwórstwa owocowo-warzywnego, oba niewielkie; w Chmielniku wartość produkcji w roku 1965 wyniosła 9 800 tys. zł (plan na rok 1970 przewiduje 20 200 tys. zł) i w Jurkowie — 10 000 tys. zł (plan na 1970 — 15 000 tys. zł). A ziemia tu różna. Jedyną więc perspektywą rozważowania przeludnionej włości jeszcze buskiej wsi pozostają miasta.

W powiecie są dwa: Busko liczące 11 tys. stałych mieszkańców i Chmielnik o 6 tys. mieszkańców. Jest też 9 miasteczek nie posiadających praw miejskich, lecz mających za to bardzo stare tradycje: Wislica, Pacanów, Stąporków, Oleśnica, Sołec — któż o nich nie słyszał.

Dominującą rolę w powiecie odgrywa obecnie wyraźnie Busko. Czym jest obecnie to miasto? 11 tys. mieszkańców i ani jednej fabryki, dwa kościoły i kilka ulic, a każda prawie wychodzi w pole. Cóż poza tym? Ani hotelu, ani szpitala. Nadwyżka rąk do pracy i brak mieszkań. Trudno nawet powiedzieć, każeć 6 tys. zwiększyła się licza mieszkańców, by 6 tys. przed wojną, to z ógólnego pedu ludzi ze wsi do miast, a nie z sily przyłączającej samego Buska. Dopiero od kilku lat przez miasto przeszła jakaś ożywienie powiew, charakterystyczny przede wszystkim wzrostem tempa budownictwa mieszkaniowego. Powstało osiedle im. Marchlewskiego, składające się z około 50 domków jednorodzinnych. Białe domki buduje się przy ul. Świerczewskiego. Rozwija się spółdzielczość mieszkaniowa. Gdy byłam w Busku, kończono właśnie budowę szpitala powiatowego. Być może, zanim ten raport dotrze do rąk czytelników, szpital przyjmie już chorych. Wyposażono go we wszystkie prawie niezbędne urządzenia, natomiast brakowało kompletnie lekarzy i pielęgniarek, choć władze ogłaszały wszem i wobec, że za miejscowym zapewnienia mieszkania — obietnica w istniejącej w mieście sytuacji lokalowej wprost bohaterska.

Busko nie ruszy jednak ostrzej naprzód bez przemysłu. Jest to wiadome od dawna i od dawna miejscowi działacze domagali się w Klecach i w Warszawie przemysłu. Góra rozumiała, lecz od ręki nikomu fabryki nie zafunduje. Ale decyzyjny już jest. W roku 1969 w Welcu (wjeżdżając od Buska 4 km od Buska) rozpoczęła się budowa zakładów regeneracji i bielnikowania opon samochodowych. Fabryka ma ruszyć w roku 1970 i w pierwszym etapie zatrudni około tysiąca osób, w drugim dwa tysiące. Już teraz Prez. PRN i Prez. MRN przygotowują teren pod fabryczne osiedle mieszkaniowe, pod osiedle tak zwane awaryjne i pod przyfabryczne

Dom Technika, w którym obok sal klubowych i wykładowych znajduje się część hotelowa o 220 łóżkach. Fabryka ma doprowadzić do miasta wodę z Nidy. Pomoczą zapewne w budowie kanalizacji, bowiem dotychczas ścieki miejskie płyną do kanałów uzdrowiska, a stamtąd do małego strumyczka, szczerząc się, że uzdrowisko żyżywa taką masę wód do kąpiei leczniczych i ścieki rozcieńczają się w nich i nie zatrzymują strumyczka. Przy fabryce powstanie też szkoła zawodowa. Mimo to wiadomo, że w roku 1970 nadwyżka rąk do pracy wyniesie w powiecie około 4 tys. osób, głównie kobiet. I choć wiadomo też, że przemysł przyciąga przemysł, a zatem obok fabryki niewątpliwie powstaną z czasem dodatkowe, drobne zakłady przemysłowe i usługowe, to same zakłady regeneracji i bielnikowania opon problemów zatrudnienia nie rozwiążą. Gdzie więc można oczekiwać ratunku? Może w uzdrowisku?

W Busku trudno jednak uzyskać na to pytanie jednoznaczna odpowiedź. Mieszkańcy miasta korzystają z wielu obiektów kulturalno-wypoczynkowych, istniejących przy sanatoriach i znajdują w uzdrowisku zatrudnienie, lecz miasto musi przeznaczyć poważne sumy na inwestycje komunalne w Zdroju, natomiast placówki uzdrowiskowe nie wnoszą nic do kasy miejskiej. Takie zdanie usłyszałem m. in. od wiceprezesa powiatowego Prez. PRN, Antoniego Milewskiego, człowieka, którego trudno podejrzewać o jakakolwiek niechęć do uzdrowiska. Pan Milewski, buskowiak z urodzenia, lata poprzedzające wojnę i okres okupacji spędził na Polesiu, gdzie nabrał się takiego reumatyzmu nóg i rąk, że z trudem chodził o kulach. Po powrocie do Buska przez 14 lat dochodził do sanatorium na zabieg — wyleczył się i dziś nie potrzebuje nawet laski.

Czym jest samo uzdrowisko? Uzdrowisko przecież bardzo stare: informacje o soli buskiej znajdujemy w dokumentach z XIII wieku. W 1778 r. odkryto tu źródła solankowe, a w 1808 dr Winterfield zaczął leczyć eksperymentalnie żebraćków i zwierzęta. W 1828 r. właściciel Buska, Feliks Rzewuski, były generał wojsk napoleońskich, zdecydował się powierzyć Winterfieldowi leczenie swego reumatyzmu.

Dość odległość z centrum miasta do centrum uzdrowiska (za jakie uważa się mały plac przy ul. 1 Maja — przy Domu Usług, w którym dawniej mieścił się zarząd uzdrowiska) wynosi 1300 m. Przejazd taksówką na tej trasie kosztuje 6,50 zł, bilet na autobus PKS 2 z Głównym gospodarzem uzdrowiska jest Państwowe Przedsiębiorstwo Uzdrowiska. Dysponuje ono reprezentacyjnym obiektem Łazienek, zbudowanych w 1836 r. w stylu późnoklasycystycznym i składających się z wysokiego korpusu głównego i dwu skrzydeł bocznych, dawniej parterowych, nad którymi w 1955 r. dobudowano piętro w części hotelowej. W korpusie głównym znajduje się sala teatralno-koncertowa i plajnia z półkopulastym sufitem o sutfi ornamentacji. Ponadto w budynku są kawiarnia, biblioteka i sala jadalna. Obecnie w Łazienkach mieści się sanatorium nr 3. Mieszka w nim 270 kuracjuszy, tu też, na miejscu, otrzymują takie zabiegi, jak kąpiele siarczane i masaże; w pałacu uruchomiona zostanie sala z gimnastyką rehabilitacyjną.

W sanatorium nr 1 mieszka 330 kuracjuszy, którzy na miejscu korzystają z kąpiei siarczanych, masażu i fizykoterapii. W sanatorium nr 2 mieszka 160 osób, które chodzą na zabieg do innych gmachów. W sanatorium „Górka” leczy się 160 dzieci; otrzymują one na miejscu wszystkie zabiegi oraz przechodzą terapię zajęciową. W Solcu-Zdroju, 26 km od Buska, mieści się znakomicie urządzone i wyposażone sanatorium nr 5, w którym jednorazowo przebywa 240 osób. Sanatorium nr 3 ma swoją filię w wili „Oblegorek”, przebywają tam 52 osoby leczące schorzenia skóry; zabiegów pobiera w gmachu sanatorium nr 3 oraz w innych budynkach. Oprócz bowiem wymienionych dyrekcja PP Uzdrowiska posiada szereg innych obiektów: inhalatornię, sale do zawiązań borowinowych itp. Mieszczą się one w 58-hektarowym parku, znakomicie utrzymanym. Ogrodnicy dają w dzień strzyżną krzewy, koszą trawę, przysadzają kwiaty. Para osiołków zaprzęgniętych do wielkiego wozu pracownicy przemierza alejkę; wywołany jest każdy zwiędli liść czy uschnięty kwiat. W roku przyszłym park ma być powiększony o dalsze 12 hektarów. Dyrektor uzdrowiska, Marian Ścisło, z zawodu jest inżynierem budownictwa. Może dlatego tak dały do wznoszenia różnych dodatkowych obiektów. W roku ubiegłym dyrektor narysował plan basenu kąpielowego (z podgrzewaną wodą), o wymiarach 20x25 metrów plus część płytka dla nie umiejących pływać. Pracownicy

(Dokończenie na str. 11)

## „Mazepa”

**K**IEDY w ostatnich dniach sierpnia br. ukazała się na murach w Lublinie reprodukcja plakatu, który Eugeniusz Pol opracował przed premierą „Mazepy” w r. 1955, zapytałam siebie odruchowo, czy wznowienie dzisiaj u nas najpopularniejszej, obok „Balladyny”, tragedii Słowackiego można uważać za wskazane. Moja własna odpowiedź wypadła pozytywnie. Przed dwadzieścia bowiem lat, jakie dzielą nas od pierwszej powojennej premiery lubelskiej „Mazepy” zmieniła się przecież gruntownie nasza widownia teatralna. Co więcej — zmienił się zespół artystyczny Teatru Osterwy tak dalece, że daję się dziś zaprojektować przedstawienie będące dziełem teatralnym zupełnie innym niż tamto pokazane przed laty. Odmienne, a więc interesujące i dla teatrofilów-weteranów.

Atoli najważniejszym argumentem na rzecz wznowienia wysocce atrakcyjnej sztuki Juliusza Słowackiego są niewątpliwie potrzeby szkolne, a zjadę, że właśnie szkoły lubelskie chciały mieć tym razem na widowni w głównej mierze kierownictwo naszego teatru. Wskazywałoby na to m.in. zamieszczenie

w programie aż dwóch artykułów wyraźnie adresowanych do władz szkolnych („Teatr a młodzież — Z doświadczeń i perspektyw upowszechnienia teatru” oraz „Miejsce szkoły w niektórych teatrach polskich”).

Tyle o sensie wznowienia, po czym — para zwięzłych uwag o nowej realizacji.

Otóż spektakl, który nam zaprezentował reżyser i kierownik artystyczny teatru, Kazimierz Braun, jest nowoczesny w formie, nobliwy i czytelny. Wole jednak powiedzieć od razu przy ostatnim przywołaniu, że mi w tej lekturze scenicznej nieco zabrakło pewnego elementu. Osobiście odczytałam „Mazepę” Brauna jako protest przeciwko tyranii w ogóle i przeciwko dobrowolnemu jej uleganiu. Jeżeli się nie mylę w określeniu intencji reżysera, byłoby to, jak mawiają Anglicy, „to far fetched” czyli skojarzenie pojęć zbyt odległych. Tragedia Słowackiego jest za mocno uwarunkowana okolicznościami historyczno-społecznymi, by łatwo ją było zmodyfikować abstrahując w jakimkolwiek stopniu od tła historycznego. Jestem, przynajmniej, wrogim generalizacji, które powtarzają się dziś w kółko sprowadzają wszystko maniakalnie do jednej dobrze już przyswojonej idei.

Mamy rok 1967: obstaraję jednak przy moim dawnym zdaniu, że „Mazepa” jest, mówiąc obcasowo, tragedią antymonarchiczną i antyfeudalną. Tak, zgoda, wszyscy o tym wiedzą, że nie przylega do niej definicja sztuki historycznej w ścisłym słowa znaczeniu, niemniej mi-

mo braku realiów historycznych ukazał tu Słowacki z całą wyrazistością główne spięcia dziejowe. Nie zapominajmy, że pierwsza wersja tragedii powstała wkrótce po klęsce powstania listopadowego, w okresie, kiedy poeta zaczął intensywnie myśleć o odrodzeniu narodu, szukając przyczyn zła w pewnych cechach warstw decydujących o losach kraju. Tymczasem odnośnie wrażenie, iż nowa lubelska inscenizacja trochę zatraciła tło historyczne dramatu przez skrajną kameralność. Zamek Wójwody jest jakby odizolowany od ówczesnego świata i Król Jan Kazimierz przybywa tam znikąd.

Coś się jednak i zyskuje na takim potraktowaniu utworu. Nawet niemamo się zyskuje. Nie rozpraszając uwagi widza na akcesoria historyczne, pozwól jej reżyser skupić się na genialnym rysunku postaci i na wspaniałych sytuacjach dramatycznych stworzonych przez Słowackiego. Ocalił też od zagubienia wszystkie klejnoty dialogu.

Jednym z sukcesów reżyserskich jest przekonanie Aleksandra o drze. Ale tego do nowej koncepcji postaci Włodędy, ze znacznym wyciszeniem w akcie I i kunsztownym crescendo namletności w miarę wikłania się akcji. Odmienne od dawnego ujęcie roli przyniosło artyście powściągliwe użycie.

Również korzystnie jest w dawnej inscenizacji wypadł w roli Króla Stanisława w Ojca i córki. Te światło oświetlało talentowanego aktora i tłumaczyło się zapewne po części dojrzałością, która przyszyła z biegiem lat. Ujawniła ją zwłaszcza kunsztowne komedienne zacięcie scen z Mazepą w akcie I.

Inne role pierwsoplanowe obsadzono nowymi aktorami.

(Dokończenie na str. 11)



"Złote Literackie" drukuje „Listy o miłości”. Ich lektura przypomina nam, że mamy inny dokument: pamiętnik 13-letniej uczennicy. Skąd on się wziął w naszych rękach? W styczniu 1962 r. odwiedziła redakcję osoba kandydująca na posłkę. Uwaga była bardzo precyzyjna, taki jakis swąd i twórcza pensjonarska. Udziałem kilku wskazano. W toku rozmowy rozmówczyni zaczęła się, że pisze wspomnienia ze swego życia. Zainteresowało to nas i w ten sposób — bez specjalnych próbek, co chyba warto podkreślić — na redakcyjnym biurku znalazł się zeszyt zatytułowany: „Wspomnienia, część III”.

Tę postawiliśmy go opublikować, na co autorka, już w styczniu 1962 r., wyraziła zgodę. Czy wnosł on coś nowego do dyskusji na temat młodzieży, dyskusji, która ciągle wraca na łamy prasy? Czytelniczki same oceniają: jeśli przy lekturze nasuwa im się jakieś uwagi, będziemy wdzięczni za listy. Oczywiście, że zrozumiemy wszystkie, nie podajemy nazwiska autorki. Dokonałmy jedynie drobnych poprawek adustacyjnych i pominieliśmy mitazami pewne fragmenty pamiętnika, uważając, że nie wnoszą one niczego istotnego. Wspomnienia obejmują stosunkowo krótki okres: od 23 listopada 1962 r. do 29 stycznia 1962 r.

Aby utrudnić zidentyfikowanie autorki, zmieniliśmy imiona osób, o których ona pisze.

25.XI.1965

Bez dedykacji i bez fotografii „ukochanego” kontynuuję swoje wspomnienia. Nie chcę przewidywać, jakie one będą. Stają się moim obrazem w wieku 17—18 lat. Pragnę tylko, aby były one szczerze, prawdziwe, bez patosu i hysterii, z której zresztą już dawno się wyleczyłam. W tym skromnym, szkolnym zeszycie zawarę me myśli i poglądy, jeszcze mało dojrzałe. Zawrę swe uczucia bardziej skryzystalizowane. Zawrę uczucia wzniosłe i mniej wzniosłe, marzenia i codzienną prozę.

Wybrałam ten wieczór, późno jesienny, prawie zimowy, wieczór, w którym wszystkie wydaje się bez sensu, wieczór, w którym nie ma ani bżów, ani piąży, ani kuligów. Jest nicość, pustka, parę wietrzy, kilka kwiatów, strzępki wspomnień i marzeń. W takie wieczory ludzie albo strasznie się nudzą, albo spędzają najpiękniejsze chwile roku. Chcę, aby moje wszystkie uczucia i myśli, które mną władają, były najpiękniejszymi chwilami mego życia. Mam dopiero 17 lat i 11 miesięcy, chciałabym mieć zawsze tyle, ale za to być starsza i starsza doświadczeniem. Wieczny niedostatek wrażeń, faktów, uczuć... Wciąż mało i mało... Chcę mieć pełnię tego, co się nazywa życiem. Nie wiem, na czym miałoby to polegać, wiem jednak, że właśnie tak pragnęłabym żyć.

Między Tomaszem z Akwinu, krzywymy stożkowymi i Polską Jagiellonów jest miejsce na jeszcze jednego papierosa i na miłe, lub mniej miłe, rozważania nad sobą i nad całym światem.

26.XI.1965

Przeczytałam poprzednie zwierzenia-rozważania. Za dużo liryki, sentymentu. Może znów staję się nienaturalna? Ale przecież w życiu człowieka istnieją różne chwile. Nie nadaję się do skomplikowanych, ścisłych kombinacji myślowych. Nie znaczy to, że nie potrafię logicznie myśleć, czasem aż za bardzo logicznie. Ale ja wolę uczucia, ja wolę „subtelniejsze procesy psychiczne” (to jednak prawda, że ja pedagogizuję).

Epoka robotów, maszyn matematycznych i rakiet. Czy to jest oznaką współczesności? Czyż właśnie znani inżynierowie, profesoria nauki ścisłej to ludzie produkujący w nowoczesności? Niel To my, ludzie kochający sztukę, ludzie wielkich uczuć, stanowimy o pełnej treści świata. Wnosimy w ten olbrzymi, niezły automat serca, to, co zwykle się nazywa humanizmem.

30.XI.1965

Jestem albo bardzo leniwa, albo zbyt gwałtowna i dlatego wiele prac zaczętych nie kończę. Tak było zresztą z poprzednimi rozważaniami. Dziś trudno mi kontynuować ten temat. Myśl się urwała. Dziśszego dnia przywiódł na myśl coś innego. Człowiek się zmienia z każdą chwilą. Każdy dzień jest tylko raz. Ba! Każda godzina, minuta, sekunda — to wszystko okresy czasu niepodobne do siebie. Na pewno powrócę do sprawy humanizmu i współczesności, ale to też musi przynieść chwila. Człowiek, mimo że się zmienia, nie zmienia się tak szybko, jak czas. Poglądy pozostają mu nieraz na całe życie.

Dziś myślałam trochę nad sobą. Nad tym, że zmieniam się. Kawiarnia, kina, spacer — to przestaje być moim życiem. Robię się domatorką, samotnicą. Lubię siedzieć w pokoju, palić papierosa i myśleć, czytać, marzyć. Niektórzy w dalszym ciągu utrzymują, że jestem rozhułkaną, rozbrzykaną dziewczuchą, nieznośną i bardzo arogancką, ale i oni zauważyli zmianę i ciągle pytają: „Czemu jesteś smutna?”. „Wygładasz na zrezygnowaną ze wszystkiego”, „Przedtem miałaś inne zdanie” itp.

Rohukana i rozbrzykana rzeczywistość byłam, ale w tej pozornej beznamiętności umiałam myśleć rozsądniej niż inne. Było mi po prostu źle na świecie. Trochę wszystko wyolbrzymiałam, trochę histeryzowałam. Teraz zrozumiałam wiele prawd o życiu. Teraz wiem, że nie znajduję w kinach, kawiarniach ludzi, o jakich marzę. To właśnie owe poszukiwania pchnęły mnie do rozrywkowego, pustego życia. Spodziewałam się spotkać ludzi wyjątkowych tam, gdzie ich nie było. Ci nieznanomi, których spotykałam, idąc ulicą, przedstawiali dla mnie zagadkę. Wydawali mi się mądrzy, indywidualni osobliwie. Dziś wiem, że to bujda, wielu spośród nich nie dorównuje mi, a wielu mało przewyższa i to nie pod każdym względem.

Mój wielki obiektywizm nie pozwala mi na zajęcie zdecydowanego stanowiska w wielu sprawach. Fanatyzm jest łatwiej żyć. Ja potrafię przynajmniej rację najgorzemu wrogowi, a odmówić jej najbliższej osobie. Ja potrafię rozpatrywać sprawę z wielu punktów widzenia i w każdym znaleźć trochę prawdy.

To był dzień dla mnie, dlatego pozwoliłam sobie na dłuższe rozważania na mój temat. Wiele razy powrócę jeszcze do siebie, bo to przecież mój pamiętnik. Nę mogą przesadzać w filozofowaniu, o którym nie mam najmniejszego pojęcia. Nie mogę również pisać tylko o sprawach nie mających większego znaczenia. Mam nadzieję, że ten pamiętnik pomoże mi w odnalezieniu siebie. Wierzę, że słowa pisane są wartościowsze niż myślane, czy mówione. To moja droga do znalezienia celu.

6.XII.1965

W sobotę byłam na imieninach. Szkoda, że solenizantka była chora, mimo to bawiliśmy się dobrze. Gdy siedziałam tam, w małym pokoju, wśród jeszcze trzeseńczego i bardzo sztywnego towarzystwa, czułam się nieswojo, źle. Nie znaczy to wcale, że pijane towarzystwo odpowiada mi bardziej. Ale ci ludzie z tzw. wyższych sfer są bardzo ponurzy, pseudoryginalni, po prostu beznadziejni.

Później wszystko rozkreśliło się. Było trochę pijanstwa, trochę prywatnych pocałunków, a potem musieliśmy się wynosić, bo solenizantka poczuła się gorzej.

Wracałam z całą gromadą, a dokładniej ze Zdzisławem, miłym, inteligentnym impresario pewnego zespołu. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczułam się swobodna, pełna życia. Przestałam być poważną, statyczną panną 18-letnią. Szalałam jak 12-letnia dziewczynka, śmiałam się z byle czego; goniliśmy się, śpiewaliśmy, deklamowaliśmy i w międzyczasie całowaliśmy się.

Uciekliśmy ze Zdzisławem od reszty towarzystwa, a kiedy w końcu nas dopadano, odchodziliśmy przytuleni mówiąc: „Między

marzenia, delikatne pocałunki, wszystko, tylko nie to. Czy nie dojrzałam? Być może, ale taki stosunek do rzeczy zupełnie normalnych jest dziwny. Chwilami sama boję się swego charakteru. Jestem za mało spokojna, za mało pracowita, żeby żyć pracą, żyć tym, co przyniesie zwykły, szary dzień.

Ja chcę wrażeń, chcę pełni życia, a jednak boję się wszystkiego. Wszystko jest straszne.

A może tzw. szary, codzienny trud sjanow- wój pełni życia? Nie wiem i nikt nie potrafi mi na to odpowiedzieć. Dochodzę do wniosku, że każdy ma inną swoją pełnię życia, swoją drogę, która mu daje zadowolenie. Ja swojej ciągle szukam i ciągle nie mogę znaleźć. Może za szybko?

25.XII.1965

Leżę samotnie. Dobrze mi tak w samotności. Wtedy myślę me i słowa me — tylko dla mnie. Wtedy piękne strofy Mickiewicza, Słowackiego, Krasifskiego i Norwida — dla mnie, tylko dla mnie. W tej zimowej ciszy odnajduję siebie — piękną, szlachetną, czystą. Wtedy czuję się zbratana z Nimi, których twórczość postawiła na postumentie Wielkości. Nie do NICH mi się mierzyć, nie z Ich dumań moje myśli liche, niskie, niedojrzałe, małuczkie, ale w sercu czuję żar, w sercu czuję wielkość tego, co zwykle się nazywa Sztuką.

Z Nimi być zawsze, z Nimi dzielić każdy ułamek życia — to zbyt cudowne, aby się spełniło.

Wokół — szarość, niskie żądze, liche instynkty, nad którymi, boję się, że nie zapamiętam.

26.XII.1965

Śniło mi się że na wieczór wigilijny zaprosiłam naszych wieszczów. Byli wszyscy

# PAMIĘTNIK OSIEMNASTOLATKI

nami nie nie było, żadnych zwierzeń, wyznań żadnych, nic nas z sobą nie łączyło”. Potem Adam znalazł kwiat. Żywy, cięty goździk w celofanie leżał na śniegu. Zaczęliśmy zacząć się samotnie idących ludzi z ofertą: „Może pan(i) kupi kwiatka?” Potem wybuchaliśmy śmiechem.

Byłam szczęśliwa, beztroška. Czulałam, że jestem młoda i wszystko jest do zdobycia. Nie zakochałam się w Zdzisławku, o nie! Stwierdzam tylko, że był bardzo miły, bardzo wesoły i czułam się z nim dobrze. Umówiliśmy się. Potraktowałam to jak zwykłą formalność po odprawieniu panny do domu. On chyba też. Było nam dobrze przez kilka godzin. To wystarczy. Na dłuższą metę to jest niemożliwe przy moim usposobieniu.

A ja chyba kocham Zygmunta. Zygmont to trzecia miłość. Trzeci z kolei chłopak, na którego widok drżę wewnętrznie i robię się zupełnie nienaturalna, rzecz można nienormalna. Pierwszą miłości chyba jednak nigdy nie zapomnę. Przestałam wierzyć w przeczaczenie dwojga osób dla siebie. Wszystko jest rzeczą przypadku. Jest bardzo wiele osób, które można pokochać. Rzecz polega na tym, którą osobę się pierwszą spotka.

20.XII.1965

Za dwa dni jedziemy na ferie. Od dawna już marzę o tym, żeby położyć się na tapczanie — nieruchomo, bezmyślnie i leżeć tak do znużenia, oporu. Marzę o tym, aby się nigdzie nie śpieszyć, mieć masę czasu, nie do roboty i paczkę „Dukatów”. Strasznie lubię leniuchować, ale tylko wtedy, gdy się porządnie namęczę, napracuję.

Aby tylko przyjechała Janeczka! Spędziłyśmy razem Sylwestra. Nie tęsknię za towarzystwem męskim i za szalonym balem. Myślę o pięknym wieczorze spędzonym razem — razem z nią, moją najbliższą, najukochańszą przyjaciółką.

Mówię, że nie interesuje mnie towarzystwo mężczyzn, a przecież na widok „noir garson” dostaję po prostu mdłości. Gdy On jest w pobliżu, nie dla mnie nie istnieje. Całe życie mogłabym patrzeć w te cudne, szelmowskie oczy i całować te wiecznie drwiące usta. Zastanawiam się nad tym, czy jego propozycje są naprawdę takie beznadziejne? Chwilami mam ochotę pójść na pocztę, nakreślić magiczny numer (...) i zapytać: „Czy twoje propozycje są aktualne? Chcę odpowiedzieć na nie — tak”. Przyrunałby na skrzydłach. Interesuje go od strony seksu. Zresztą on nie jest zdolny do prawdziwej miłości. Taka artystyczna, muzyczna dusza, a tak płytkie uczucia i instynkty w niej tkwiące.

Mimo że Go zupełnie rozumiem, nie potrafiłabym tak żyć jak On. Podziwiam Go za ten sposób życia. Po prostu motylek. Z kwiatka na kwiatka (mówiąc delikatnie). Zygmont, jak pisałam, to moja trzecia w życiu Wielka Miłość. Ta miłość nie jest jednak tak skromna, niewymagająca. Wymaga ode mnie albo wielkiego poświęcenia, albo wielkiego hartu. Nie ulegnę!

A może to wyraz tchórzostwa? Może właśnie boję się tego potwornie, panicznie i dlatego właśnie nie chcę? Jakże to głupie: „wyjść gonnie”.

Co z tej godności, której nawet i On nie doceni? Zostaną lzy, samotność i wielka pocieszycielka — praca. Mam dość tego wszystkiego. Chcę być normalną dziewczyną, a jednak nie potrafię. Wiem, że go w końcu utracę, że nie zrobię tak, jak myślę, ale inaczej nie potrafię. Mogę o nim marzyć, myśleć, mogę go całować, ale tym się brzydzę. To dziwne. Myślę o tym, jak o czymś bardzo obłąkającym, jak o prawdziwym szczęściu, a gdy to jest tuż, tuż, staje się takie ohydne! Wtedy wolę piękne

przynębieni, starałam się ich rozweselić. Nad ranem dostalam temperatury — ok. 39 stopni. Miałam silne dreszcze, nie mogłam spać, okazywały miłe majaki, zjawy. O szóstej zaczęło mnie mdlić. Nie wytrzymałam. Obżarstwo świąteczne czy emocja?

Wysłałam do Zygmunta list, chyba pierwszy i ostatni. Napisałam Mu to, co czuję i czego pragnę. Nie żałuję tego kroku. Miłość nie trzeba się wstydić. Miłość jest piękna, jest podstawą wszystkiego, co na tym świecie dobrego się zdarzy. Trzeba ją pielęgnować, bo coraz jej mniej w tym zwirowanym XX wieku. Nie wolno jej odrzucać, trzeba stworzyć jak najlepsze warunki, by mogła ona kwitnąć. To mogą zrobić tylko ludzie. Rząd ma dosyć roboty. Chyba za dużo nań zwalamy. Na rząd i na partię. Ale to osobna historia, może jeszcze kiedyś i to będzie tematem moich rozważań.

Na razie czekam na Janeczkę. Czekam, bo jak zwykle jesteśmy zawzięte. Ona nie chce pierwszą przyjść do kina, ja też chcę postawić na swoim.

I tak siedzimy każda w swoim domu i czekamy na siebie. Myślę, że się nie doczekamy, a mnie już szlag trafia. Nudzę się wściekle, może pójdę do kina? Bo do niej pierwsza nie pójdę. Koniec. Kropka.

1.I.1966

KOCHAM. KOCHAM. KOCHAM. Drżąc ręką, ze łzami rozpacz w oczach piszę te słowa. A jednak Go kocham! To już nie są ciche wzdychania, malowanie portretów, ukradkowe spojrzenia. To uczucie paraliżuje wszelką inicjatywę. To jest uczucie — burza, którego się panicznie boję, bo odczuwam swą wielką bezradność. Do tej pory taka stanowcza, taka zimna! I naraz przyszło, „owładnęło i trwa”. Co robić? Pytam siebie, pytam Janki, pytam własnych uczuć, ambicji. Każde „ja” mówi co innego. Rozpacziłw i bardzo slabutko mówię: „Nie mogę się poddać”. Próbuję pozbiierać reszki mojej ambicji, planów, postanowień. Wszędzie na przeszkodzie stoi On.

Dziś właśnie, dziś na święto, mimo wielkiego zmęczenia, spróbuję zastanowić się nad sobą, nad Jego słowami. Spróbuję wybrać drogę postępowania. Zapiszę przebieg rozmowy, może to mi wiele wyjaśni?

Noc Sylwestrowa. Nakładalam musztardę na talerzyki, gdy usłyszałam Jego zwykłą melodię. Skąd On tu? Po co? Dlaczego? Prawdę mówiąc, jechałam tylko w nadziei, że Go tu ujrzę. Nie uświadamiałam sobie tylko, jak mam Go ujrzeć.

Stanął po drugiej stronie stołu. Całą uwagę poświęciłam na opanowanie drżenia rąk. Nie poznał (stałam tyłem). Gdy wyprostowałam się, usłyszałam: „O... Cudnie wyglądasz!” Już byłam do niczego. Potem On grał, a ja, jak tylko mogłam, zabawałam Irka. W czasie jednej z przerw usiadłam. Podszedł do mnie i poprosił: „Pocałuj mnie”. Pocałowałam. „Jesteś oryginalna i cyniczna” — powiedział i znów poszedł. Dalej trwała zabawa. O północy wszyscy składali sobie życzenia. Podchodzili do mnie, życzyli mi dużo szczęścia, a ja nawet nie wiedziałam dobrze, kto. Patrzyłam na Niego. Nikomu nie składał życzeń. Do mnie też nie podszedł.

Kiedy znaleźliśmy się na kolacji, w bocznej sali, tam się zaczęło. Przyszedł i zaczął składać życzenia. Mówił duzo, pytał, czy to prawda, że Go kocham. Pytał, dlaczego jestem inna, dlaczego nie wie, jak się wobec mnie zachować?

Miał nadzieję, że to ja podejdzę pierwsza i złożę Mu życzenia. Moje zachowanie Go zaskoczyło. Żadna znana Mu panna nigdy tak nie postąpiła. Pocałował mnie w rękę. Mówił, że rozumie mnie, jak nikogo, że

lubi mnie, jak żadną. Pragnie mnie kochać. Tęgo życia sobie, mnie w 1966 roku. Błagał o jedną noc. Odmówiłam. Wyduśił przeczucie przyszedł i złaził mi życzenia. Co robić? Co robić? Jaki On jest właściwie?

4.I.1966

Koniec ferii. Koniec leniuchowania. Znów zaczęło się codzienna praca, która, być może, pozwoli mi zapomnieć.

Zapomnieć... Tak, zapomnieć. To dobrze, że znów zaczynam rozsądnie myśleć. Nie mogę dopuścić do tego, że będę czuła się nieszczęśliwa. Jeszcze nikt nigdy nie wyznał mi, że szaleje za mną z miłością. Owszem, mówiono mi „kocham cię”, ale to dla mnie było tak mało wartościowe! Czyż nie dano mi, bym kochać mogła z wzajemnością?

Chciałabym, aby to, co przynosi los, było dla mnie szczęściem. Bym czuła się szczęśliwa pracując, bym czuła szczęście w samotności, gdzieś na pustkowiach, gdzieś na wsi... Nie mogę, ciągle nie mogę... Będę nieszczęśliwa w życiu, będzie mi źle, ale los i tak jest łaskawy. Dał mi u wszystkich szacunek, poważanie, dał mi prawdziwą przyjaźń, na której oprę się w trudnych chwilach. Dał mi też przeżyć prawdziwą miłość, choć bez wzajemności. Nie każdy może przeżyć gorzki miłość, nie każdy przeżywa to piękne uczucie niemości, rozpacz. Ja to przeżyłam.

13.I.1966

Język polski. „Kordian i cham”. Co z tego dociera do mnie? Strzępy jakichś słów. Zuję jak w nierzeczywnym świecie.

Jaka ja jestem? Tesknie do Niego. Dzwoniłam. Wyjechał. Nie wiem, gdzie. Dzwoni-

nić jeszcze raz? Nigdy. Będę czekała, będę tęskniła w milczeniu, w samotności, będę uszlachetniała się tą miłością. Kocham Go, choć tyle zlego o Nim słyszałam. „Znajdź inny obiekt, jeśli masz palną głupstwo” — mówily koleżanki. Idiotki! Nie rozumieją niczego. To jest właśnie Miłość, której chcę poświęcić to, co kobieta ma najdroższego — swoją cześć. Chcę mieć pewność, że tej cudnej chwili nie zmarnowałam. Ze poświęciłam ją ukochanemu człowiekowi.

Przedwczoraj byłam na recitalu Kędry. Wydawało mi się, że znajduję się w świątyni. Wokół cisza i tylko tony, tony. Tęny wielkie, wlatujące prawie w niebo. Byłam podniecona, byłam zdenerwowana. Nie czułam nic, prócz wielkości mistrzów, prócz wielkiej potęgi tego, czego nie rozumięłam dobrze. Czulałam wielkie uczucie. Uczucie, siłę, czar potężny. Potem strasznie bolała mnie głowa, ledwie dowlókłam się do domu. Ten koncert wykończył mnie trochę. Porównywałam to wszystko z własną miłością. Wszystko, co piękne, powinno nazywać się Miłością.

20.I.1966

Przyjechała matka. Zestarzała się, utyla. Po co ja właściwie o tym piszę? Chcę być myślowy tylko przy Zygmuncie. Mój najukochańszy! Kocham bez pamięci, nie nie potrafiłabym zaniebawić. Każda minuta myślenia poświęcona jest tylko Jemu. Tak jednak nigdy nie kochałam! Dowiedziałam się, że podobno już na stałe wyjechał do W. Pozostało czekać choć na jedno spotkanie. A jednak nie ponizę się. Ja zawsze będę górą. Będę „wyniosła, dumna, zimna, dostojna”. Będę w każdym calu dostojna. Będę miała twarz. Nie zdobędziesz mnie. Nie zdobędziesz mnie nigdy! I nigdy nie będę Twoją. Zawsze będę tylko swoją. Będę należała tylko i wyłącznie do siebie.

21.I.1966

Jestem strasznie zmęczona. Mam dość życia, szkoły, wszystkiego. Wyczuwam, że zbliża się katastrofa. Jaka? Nie wiem. Boję się życia, boję się wszystkiego. Chętnie uciekłabym gdzieś, zakopała się, chętnie rozplakałabym się teraz. Chciałabym, żeby był ktoś przy mnie, pocieszył, przygarnął, zaopiekował.

Stanął z życiem twarz w twarz. Boję się tego. Prześladowuje mnie myśl, że popelnię samobójstwo.

Po co to wszystko? Nie rozumiem sensu życia, krzątający. Co wokół mnie się dzieje? Ludzie coś mówią, chodzą, robią. Po co im to wszystko? Wszystko przemienie.

Po co jest świat i człowiek? Wszystko jest bez wartości. Nie ma uczuć prócz żalu, goryczy zawodu. Nie ma szczęścia. Tylko głupcy są szczęśliwi, bo nie wiedzą nic. Właśnie co mi jest? Tak chętnie bym się rozplakała. Nie mam nikogo bliskiego. Wszędzie fikcyjne przyjaźnie. Zygmont, słyszysz mnie? Zygmont...

W tym miejscu pamiętnik się urywa. Nie wiemy, co się dalej działo z jego autorką. Pół roku temu zadawano do redakcji jakis, sądząc po głosie, młody człowiek. Przedstawił się jako narzeczony owej uczennicy i prosił o zwrot rękopisu. Czy to był Zygmont, o którym przeczytaliśmy? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Rękopis jeszcze zatrzymaliśmy na pewien czas. Dziś możemy go oddać. Prosimy autorkę o skontaktowanie się z redakcją.

# Złote grono sztuki

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI



## ZIELONOGÓRSKIE

„Złote Grono”, polskie tabeau ronde artystów, teoretyków i krytyków sztuki, będące zarazem miejscem prezentacji najciekawszych zjawisk naszej twórczości plastycznej, odbywało się pod znaczącym hasłem integracji sztuki. Bezpośrednich powodów do dyskusji miały dostarczyć retrospektywne wystawy malarstwa Stanisława Ignacego Witkiewicza, Władysława Strzemińskiego, Leona Chwiłki i ekspozycje projektów urbanistycznych - architektonicznych Zofii i Oskara Hansenów oraz Międzynarodowego Ugrupowania „Architektura Przyszłości” (GIAP), którego animatorem jest Michel Ragon.

Głównym momentem całej imprezy, zgodnie z założeniami programu, miało być unikalne na naszym terenie wydarzenie artystyczne o nazwie „aranżacje przestrzeni”. Każdy z artystów, biorących udział w tej manifestacji „Złotego Grona”, otrzymał do swojej dyspozycji jedną lub dwie niewielkie sale muzealne, ową przestrzeń, którą należało zorganizować plastycznie. Dowolność środków technicznych, formalnych i różnorodność koncepcji sprawiły, że powstał niezwykle ciekawy i urozmaicony labirynt, zaskakujący poszczególnymi rozwiązaniami. W „aranżacji” Zdzisława Głowackiego i Tomasza Jaśkiewicza dominującą rolę pełniła ogromna złotista kula z żywicy epoksydowej zbrojonej tkaniną szklaną, zwisająca z sufitu; mniejsze kule przyciemniono do srebrzystych, celowo rozdanych ścian. Dość niesamowita atmosfera jakiegoś laboratorium, dodatkowo skomplikowana rozdarciami — wejściami do nikąd, pochłaniała całkowicie widza. Czy widza? To konwencjonalne słowo jest tu bowiem całkowicie nieprzydatne przy określaniu kontaktu odbiorcy z dziełem, bardziej adekwatne wydaje się określenie „uczestnik”, a nawet „współtwórca” wrażeń. Za taką zmianą terminów przemawiały także aranżacje Henryka Morela i Piotra Pereplysia, którzy przy pomocy worków płóciennych i plastikowych, wypełnionych siemem lub powietrzem, stosując detki samochodowe, rzeźbiarsko skłębione lub rozłożone na podłodze, wykonali zalamujący się korytarz, z lekką oświetlony zielonkawym światłem. Chwiejny spacer, wymagający ciągłego operania się o ściany, zapach siana, światło — czyż można bardziej agresywnie zaatakować zmysły człowieka przy pomocy tak niewyszukanych środków?

Nastrój niemal sakralny udało się natomiast uzyskać Tadeuszowi Doboszowi. W jego „mszy” występują pily tarczowe zwisające z rur przyciemnionych do sufitu oraz różnej wysokości sosenne pieńki, pomiędzy którymi autor ukrył żarówkę — miarowo gasnące i wzmagające napięcie światła, zgodnie z wysokością dźwięków odtwarzanych z taśmy magnetofonowej.

Aranżacje zielonogórskie — ambitna i po raz pierwszy w Polsce w takiej skali pomyślnie zrealizowana próba połączenia autonomicznych gatunków sztuki, próba wspólnej pracy ludzi różnych dyscyplin twórczych (malarzy, rzeźbiarzy, architektów) — stały się najcenniejszym osiągnięciem „Złotego Grona”, przekonywającym do wódem możliwości integrowania sztuki i śladem obiecujących perspektyw, jakie ta integracja otwiera w kierunku rozwiązań na wielką skalę.

A jednak, jakby na przekór takiej ocenie, dominującym tematem sympozjum zielonogórskiego stała się architektura, o niej mówiono najczęściej, o nią spierano się najczęściej. Odchodząc od konkretnych faktów artystycznych, bezpośrednio dostępnych, odwołano się od razu do idei integracji, której podłożem była zawsze architektura. Niektórzy uczestnicy dyskusji, jak Julian Przybóś, wyrażając przekonanie, że malarstwo pozostanie zawsze sztuką prymarną, mówili przede wszystkim o... architekturze. Taki kierunek wymiany poglądów ułatwiali projekty GIAP, eksponowane w sal obrad.

Zadziwiająca zresztą jest ta stale ujawniana tęsknota za architekturą. Po secesji, która pojęciu integracji przywróciła świeżość i sens, czyli od 1910 r. ciagle podejmowane są próby zjednoczenia wielkiej trójcy — ciagle, lecz na ogół bezskutecznie. W zasadzie nie dożył się szerszego rozwinięcia koncepcji radzieckich konstruktywistów i suprematystów z Tatlinem, Naumem Gabo i Malewiczem na czele, łączące rzeźbę i architekturę na zasadzie wspólnej im właściwości organizowania przestrzeni. Bardziej uchwytne rezultaty przyniosła działalność holenderskiej grupy „de Stijl”; geometryczne rozczłonkowanie fasad barwnymi płaszczyznami, inspirowane malarstwem Mondriana i van Doesburga, określiło jedną z głównych tendencji współczesnej architektury. Lata po drugiej wojnie światowej, choć przyniosły wiele godnych uwagi konkretyzacji idei współdziałania sztuk, to przecież generalnie też nie rozwiązały problemu. Autonomiczne traktowanie przez malarzy obrazu, jako rzeczywistości zamkniętej, (umacniającej się sama przez się — uniemożliwiającej pełne włączenie takiego dzieła w krwioobiegi struktury architektonicznej). Równie poważną przeszkodą okazał się stosunek architektów do malarstwa i rzeźby, ponieważ wiązały oni te gatunki jedynie z dekoracją budowlaną.

Tendencje integracyjne są jednak nadal żywe. Może dlatego, że nowoczesna architektura coraz dalej odchodzi od obrosłego tradycją budynku — prostopadłościennemu bryli w stronę form biologicznych, a z drugiej strony przestrzennych, a więc korespondujących z nowoczesną rzeźbą, od której może oczekiwać inspiracji. Zasadniczym jednak fundamentem możliwości współdziałania różnych dyscyplin sztuki jest chyba fakt, że dzisiejsza architektura jest zbiorowym dziełem wielu specjalistów. Minęły bowiem czasy, kiedy nieliczny zespół architektów i urbanistów decydował o kształcie i funkcjach budynku i miasta. Eksplozja demograficzna, szalony rozwój komunikacji i coraz szybsze tempo życia postawiły problem mieszkania na naczelnym miejscu społecznych potrzeb i ukazały zarazem jego skomplikowanie.

Koszmar ilości, wielkie przemiany naukowe, wielokrotnienie ruchu miejskiego, oto czynniki, które określać będą nowe kształty jutrzejszego miasta. (...) Aby zaspokoić wzrastające potrzeby mieszkaniowe i nie dopuścić do rozprężenia się miast w nieskończoność, najbardziej racjonalne wydaje się przyjęcie kierunku urbanizmu przestrzennego. Równoległe do niego zarysowuje się tendencja urbanizmu podziemnego, który pozwoli, być może, na rozprężenie miast dawniej zbudowanych.

Tak najogólniej, lecz dotykając istoty problemu, określa Michel Ragon te momenty, które wyznaczają charakter i cele wspomnianego ugrupowania architektów (GIAP), skupiającego twórców z Francji, Japonii, Niemiec, Włoch i Szwajcarii. Spójrzmy więc bliżej na pokazane w Zielonej Górze projekty. Przed tym warto jednak zapytać, czy GIAP posiada jeden wspólny dla wszystkich członków i szczególnie nakreślony program ideowy. Odpowiedź jest przecząca, albowiem GIAP skupia artystów różnych narodowości i kontynentów, a wiadomo, jaką rolę w projektowaniu architektonicznym — urbanistycznym odgrywa środowisko geograficzne. Można przecież odnieść najogólniejsze zasady tego ugrupowania.

Tak więc GIAP zmierza do zjednoczenia różnych specjalistów zajmujących się zagadnieniami architektury przyszłości: inżynierów, socjologów, ekonomistów, lekarzy, artystów różnych dyscyplin, architektów i urbanistów, co samo w sobie jest dowodem integracyjnych wysiłków grupy. Przy okazji warto przypomnieć, że dwaj wybitni członkowie GIAP są rzeźbiarzami (Nicolas Schöffer i Szekely).



Stefan Krygier — aranżacja

Fot. Czesław Luniewicz

Po drugie: celem GIAP jest prowadzenie prac badawczych nad nową architekturą i upowszechnianie ich poprzez środki masowego przekazu i bezpośrednie spotkania. W czasie kilku miesięcy ubiegłego roku zorganizowano z inicjatywą Michel Ragona takie m. in. dyskusje i odczyty: „Architektura ruchoma”, „Urbanizm a cybernetyka”, „Urbanizm barwny i architektura — rzeźba”, „Jak będziemy żyli jutro?”

Członkowie GIAP nie projektują architektury na dziś, większość planów pokazanych w Zielonej Górze przedstawiała wizję przyszłych zespołów mieszkaniowych, choć były wśród nich propozycje — głównie niewielkich domków — których realizacja jest już obecnie zupełnie łatwa. Charakterystyczne cechy wielkiej wizji architektonicznej GIAP to konstruowanie budowli nad poziomem ziemi, oddzielenie komunikacji od naturalnego ruchu człowieka oraz projektowanie mieszkań z elementów ruchomych. Np. rzeźbiarz Szekely naszkicował projekt miasta krążącego wokół ziemi dzięki energii słonecznej, a najwybitniejsza indywidualność GIAP, Yona Friedman, pokazał swoją koncepcję tzw. urbanizmu przestrzennego; miasto przemieszczające nad powierzchnią ziemi posiada kra-

towną konstrukcję, która pozwala na swobodne przekształcenie mieszkań, zgodnie z życzeniami użytkowników. Dwaj Francuzi obecni na sympozjum, Hiro i Fernier, przedstawili napowietrzną jednostkę mieszkaniową o strukturze ciągłej.

W wystawie GIAP zabrakło jednak projektów kompleksowych, rozwiązujących problem jednostek mieszkaniowych w wielkiej skali, np. kraju. Z propozycją takiego ujęcia wystąpili natomiast Polacy, Zofia i Oskar Hansenowie. Kto wie, czy przyszłość architektury i urbanistyki nie wiąże się z ich „linearnym systemem ciągłym”, który notabene wymaga osobnego i obszernego omówienia.

Tegoroczne „Złote Grono”, znakomicie zorganizowane przez miejscowych działaczy kultury i artystów, należy uznać za fakt o wielkiej doniosłości. Stawiając na pierwszym miejscu sprawę integracji sztuki, uświadomiło te pojęcia współczesnej plastyki, które w najbliższej przyszłości określą zapewne kierunki jej rozwoju.

# Gdy korytkuje grzdyl...

## Słownik gwary studenckiej

TERESA SKUBALANKA STANISŁAW GRABIAS

TYM, że istnieje gwara studencka, wie się powszechnie, jednakże często nawet ludzie, którzy sami ukończyli wyższe studia i posługiwali się na co dzień tą gwarą, nie zdają sobie sprawy z jej istotnych właściwości i stosunku do języka ogólnopolskiego (literackiego).

Prawdę mówiąc, niewiele się do tej pory tymi kwestiami interesowano. Uwagę językoznawców przyciągała przede wszystkim gramatyka strona języka. Zdawano sobie sprawę, oczywiście, że język narodowy składa się z wielu odmian, stylów i gwar, mało kto jednak poświęcał tej problematyce więcej starania, jak np. prof. H. Ułaszyn, który opracował monografię języka złotogórskiego. Jeśli chodzi o gwary studencką to dopiero w ostatnich latach sami studenci-językoznawcy, zrzeszeni w sekcjach językoznawczych kół naukowych polonistów, zajęli się gruntowniej studiowaniem języka własnego środowiska.

Za najważniejsze zadanie uznano przede wszystkim sporządzenie systematycznego opisu współczesnej gwary studenckiej. Pierwsze zarysy takiego opisu zostały przedstawione w formie referatów na II Ogólnopolskim Studenckim Seminarium Językoznawczym w r. 1961 w Lublinie i opublikowane potem w 8-9 numerze „Językoznawcy”, wychodzącego w Lublinie ogólnopolskiego czasopisma studentów-językoznawców. Na wspomnianym

spotkaniu w Lublinie zrodził się także pomysł opracowania słownika gwary studenckiej, mającego objąć słownictwo wszystkich studenckich środowisk w Polsce. W latach następnych zaczęły się różne prace przygotowawcze nad słownikiem, opracowanie kwestionariusza, zbieranie materiału we wszystkich ośrodkach, z tym, że główny ciężar prac związanych z powstawaniem słownika spoczywał na studentach zrzeszonych w Kole Językoznawczym na Uniwersytecie M. Curie-Skłodowskiej pod opieką kierownika Katedry Języka Polskiego, prof. L. Kaczmarka.

Obecnie w katedrze znajduje się już dość duża kartoteka słownictwa gwarowego, zawierająca ok. 10 tys. kartelek. Jak taki słownik będzie wyglądał? Zeby właściwie odpowiedzieć na to pytanie, należy najpierw zastanowić się nad charakterem zebranego słownictwa. Gwarę studencką różni od języka ogólnopolskiego głównie specjalne, należące do niej wyrazy. Gramatyka — z wyjątkiem może pewnych osobliwych słowotwórczych — jest taka sama. Mówiąc o wyrazach gwarowych, musimy jednak zauważyć, że stanowią one w zasadzie bardzo niewielką część słownictwa ogólnopolskiego, nieliczne tylko „powtarzają” jak gdyby pozycje z podstawowego zasobu słów ogólnopolskich. (Tak np. człowieka, osobę nazywa się chłopem, chłopaką, gościem, faciem, facetem, fagasem, klientem; czynność jedzenia: korytkowaniem, przetrucaniem czegoś, weiskaniem, wrzucaniem na ruszt, wtrącaniem, wrymianiem). Większość zebranego materiału odnosi się do dziedzin związa-

nych z życiem studenta, z jego pracą naukową (np. nazwy pracowni, lecz niezbyt lotnego studenta: dzieciół, kowal, kujon, mrowa, mulek, młot, pracuś, rył, ryjowa, tegorycie; nazwy niezadowolonego studenta: ciemiak, dno, choromóżg, beznadziejniak, głupi aż granatowy, głupi aż siny, nie-wiasta (tylko o kobiecie), noga, nół, sirota, słaboszczak, tepał, wolno-mysłiciel, zero; nazwy ucznia się: chorowale na wiedzę, cesaś książkę, dzieciół, kuś, młotkować, obgryzać się, pilnować, pruć, zafajeząć wiedzę, wiece intelekt itd.), z organizacją studiów (np. nazwy uczelni: uniweraj, polibuda); stosunkiem do kolegów i rodziny (koleżeński, uczynny student nazywany jest kumplem, równiacha, równym facetem, swojakiem, podczas gdy niekoleżeński — chomatem, ciulem, grzdylem, nutnią i żłobem).

Nasuwa się pytanie, co stanowi przyczynę powstawania wyrazów gwarowych. Kiedy się przyjrzy bliżej zebranemu materiałowi, widać wyraźnie jego wtórność w stosunku do języka ogólnopolskiego. Jest to słownictwo służące do wymiany odpowiednich wyrazów ogólnopolskich, a więc ogólnie biorąc są to synonimy wyrazów literackich, potocznych i książkowych, przedstawiające się bardzo często jako wielowyzwowe połączenia frazeologiczne w rodzaju: oddawać się pęhlom na pożarcie (spać), zalać się w cztery Mikołaje (upić się), gość z dużym polem do całowania (łyś).

Opisane synonimy rzadko rodzą się z potrzeby nazywania nowego znaczenia (jak np. gielda na oznaczenie sytuacji przed salą egzaminacyjną lub walet na oznaczenie

studenta mieszkającego nielegalnie w domu akademickim), ogromna większość wynika ze szczególnej postawy emocjonalnej wobec rzeczywistości, według słów samych studentów znamionującej się wielkim humorem i drwiną, fantazją i poczuciem niezależności, lekceważeniem wszelkich konwencji społecznych i nieżyjących zakazów, norm itp. (z artykułu J. Bartmińskiego, M. Buczyńskiego i I. Niewęgłowskiej pt. „Słownictwo środowiskowe studentów lubelskich w okresie 1957—1961”. Językoznawca 8—9, s. 63). Stąd tak częsta funkcja humorystyczna używanych wyrazów, o której mogą świadczyć następujące wybrane przykłady oparte o zasadę kontrastu semantycznego bądź etymologicznego: rozkoszny jak świnią, seksglista (szczęplia dziewczyna), wiatrolog (nieuk), habidamek (bawidamek), erotuman (bawidamek), wodociąg (pijak), pijanista (pijak) na wzór pianista itd.

Z pochodzenia rzecz biorąc mamy w omawianym słownictwie większość tzw. przenośni sferycznych, to jest wyrazów przeniesionych z ogólnopolskiego języka potocznego lub książkowego przy jednoczesnym zmianie znaczenia. Por. np.: kret — ciągle uczący się, tj. ten, co ryje, przecinek — językoznawca, ujeżdżalnia — sala egzaminacyjna, wodorosty — jarny pływające w zupie itd. Spero jest przenośni z języka naukowego, jak np.: aneolostoma — kujon, (w znaczeniu podstawowym tasmielce dwunastnicy), calka — studentka matematyki, zero anatomopatologiczne — głupiec itp. Mniej natomiast znajdujemy pożyczek z innych gwar środowiskowych, np. z języka środowisk przestępczych (z gwary złodziejskiej przyjęto wyrazy dola — stypendium, leser — student wykręcający się od pracy, w garze złodziejskiej złodziej zawodowy, itd.), czy z gwary miejskiej Warszawy (badylarz — student WSR, w garze miejskiej handlarz zieleniny, odplynać — odejść po niezdanym egzaminie, wysiadka — koniec pobytu na studiach itd.). Często trafiają się zupełnie nowe (mowa utworzone wyrazy w rodzaju cho-

ramóżg — głupiec, mięsacz — rzucający mięsem, tj. kłujący, ściślak — studujący nauki ścisłe, zakukaj — kujon, przesadnie pracujący itd.).

Jak wynika z dotychczasowych spostrzeżeń, przyszły słownik gwary studenckiej będzie musiał zarejestrować wyrazy gwarowe w taki sposób, by wydatnie ich stosunek do odpowiednich wyrazów ogólnopolskich. Całość słownictwa zostanie uporządkowana w dwu działach: pierwszy będzie zawierał wyrazybrane w grupie realnoznaczeniowej pod hasłami, które będą miały postać ogólnopolską, Tak np. wyrazy gwarowe cyrk, draka, granda, heca, meksyk, numer, rozrabianka, rozraba znajdują się pod hasłem awantura, podobnie jak dola, flota, gaza, jaimuzna, pensja, pieniędz, reja, renta, stypa, wziętka, zaliczka, żebry, zoid pod hasłem stypendium.

Drugi dział słownika gwarowych w układzie alfabetycznym. Warto zaznaczyć, że opracowanie materiału przyniesie informacje o zasięgu hasła, o tym, czy są one używane powszechnie, czy tylko w jednym ośrodku, oraz informacje dotyczące etymologii miejscowych dla cytelników wyrazów. Najpewniej w ciągu roku ukończy się redagowanie całości. Kierownictwo Katedry Języka Polskiego przypuszcza, że wydanie tego jednolitego słownika będzie miało miejsce — jak to było dotychczas — Wydawnictwo Lubelskie.

W ten sposób pomyślany słownik gwary studenckiej dostarczy nam usystematyzowany zbiór wyrazów gwarowych, które zazwyczaj pojawiały się i znikły w języku nie utrwalone w żadnym większym zapisie. Pomocno nam także lepiej zrozumieć wewnętrzną budowę języka narodowego, który składa się z przetrwałych z zespołu „wewnętrznych języków” i przedstawia wielkie bogactwo różnych rodzajów mównia.

Słownik gwary studenckiej będzie stanowił ponadto niezbędne źródło wiadomości dla każdego miłośnika mowy ojczystej, dla pisarza i nauczyciela, a zapewne ucieszy także brać studencką, która ujrzy w nim zwierciadło swego życia.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

O MARYNISTYCE BEZ LAKIERU...

Nardzo uroczysta mnie wypowiedź Bronisława Miazgowskiego „Kamena” nr 10 z dwóch zasadniczych powodów. Jest świadectwem poczynności perłowa dyska kulturalno-literackiego i upewnia w przekonaniu, iż temat marynistyczny angażuje wielkie, twórcze umysły.

Wypowiedź p. Miazgowskiego sprząda się do imputowania mi generalnego zarzutu (albo herezji) — jak życzę sobie p. B. M. i) zupełnego braku rozeznania w temacie i niezauważenia przez mnie niedawno wydanej książki wybitnego marynisty. Po to, by rzec całą rzetelnie udokumentowaną (przebiegiem K. S.) moją adwersarz wyłącza mi ja — K. S. i) mój adwersarz wyłącza mi ja — K. S. i) mój adwersarz wyłącza mi ja — K. S.

Wymiana materiałów między środowiskami prowadzi szereg ośrodków kulturalnych i rzecz to zbóżna.

Do ukontentowania czytelnika zabrakło w rzeczywistości (kajana się szczerze) ścisłej, precyzyjnej definicji przedmiotu.

Wspominając o marynistyce „pisanej za biurkiem, koncepcje w miękkiem samoznaniu” K. S. myślałem o tych wszystkich piórach, które gonią za tania sensacją, banalną fabulką etc. A naczelnicy są takiej literatury, wystarczy, by raz postawionej zarzut nie cofnąć.

Jeśli napomknąć o literaturze marynistycznej, to po to, by nie postpować, ale zapisać o racje by i u powielanie w mnogości korespondencji specjalnych wystawników. Trzeba, panie Miazgowski, posłuchać psiołców rybaków i marynarzy i przepięknych wiązańek posyłanych pod adresem rzekomych Conradów, na nowo „odkrywających morze”, aby zrozumieć sens zdania: literatura w miękkiem hambuszkach. O takiej literaturze myślałem, przywołując na pamięć ciepłe domowe pantofle.

Poszukując ciągle nowych tematów do książek marynistycznych p. Miazgowski zakotwiczył w szwajcarskim Fryburgu. Zapewne, podobnie jak egzemplarze pism kulturalnych, również rzadko docierają tam wieści, których podmiotem jest morze i jego złożona, niekiedy trudna problematyka. Zajmują się nią pisma fachowe, ściśle ukierunkowane, jak i publicyści czerpiący z pierwszego źródła. Fakty, które dzięki p. Miazgowskiemu zaczynają ogłądać światło dzienne, znane są powszechnie. Nie znaczy to, by wzbraniać się przed ich przypominaniem choćby z okazji jubileuszu Klubu Marynistów.

Co się zaś tyczy debiutantów: wolno i należy zmywać im głowy, co czyni z satysfakcją mój adwersarz. Jednakże nawiązanie niewybredne chwytły w rodzaju forawania swojej twórczości działalności nie w literaturze, lecz w sztuce, traktująca o zupełnie odmiennych sprawach, nie muszą tegoż debiutanta do wielbienia płodów wyobraźni Bronisława Miazgowskiego.

Sądze, iż jest to rzecz wyboru. Owszem, zawsze będą obstawał za geniuszem Conrada.

Kreślię się z poważaniem KAZIMIERZ STOPA

P. S. Z zaproszenia na grudniowy zjazd K. M. z pewnością chętnie skorzysta p. Perkowski. Służę adresem.

K. S.

BIAŁYSTOK

W poniedziałek 4 września ukazała się „Gazeta Białostocka” oznaczona kolejnym numerem 5000. W ciągu 14 lat pismo było nie tylko informatorem dla coraz większej liczby czytelników, ale także organizatorem wielu akcji społecznych. Zespołowi redakcyjnemu należało życzenia!

Białostocka Orkiestra Symfoniczna rozpoczęła w stolicy imprezy muzyczne „Warszawskiego Września”, dając 3 września koncert w Teatrze Łazienkowski.

Prawie 30 plastyków z całej Polski wzięło udział w III plenierze malarskim w Białowieży. Niestety, plastycy lubelscy w tym roku nie dopisali.

W dniach 1-3 września odbył się w Białymstoku i Zjazd Naukowy Lekarzy Ziemi Białostockiej. W pierwszym dniu omawiano aktualne problemy leczenia, w drugim zagadnienia naukowe.

LUBLIN

Kustosz Muzeum Zeromskiego w Naleczowie Stanisław Butrym przywiózł ze Szwajcarii stereg materiałów i pamiatki związane z pisarzem, które wzbogacą zbiory naleczowskie.

W salach BWA w Lublinie odbyła się wystawa malarska Haliny Korn-Zulauskiej, żony malarza Marka Zulauskiego, zamieszkałego stale w Anglii.

Tegoroczny IV Lubelski Wrzesień Muzyczny rozpoczął się 12 IX recitale Haliny Czerny-Stefańskiej, a zakończył 23 montażem opery Glucka „Orfeusz”. Impreza w tym roku objęła także Kazimierz, Chełm i Zamość.

Muzeum Lubelskie zanotowało w lipcu i w sierpniu rekordową frekwencję — po ok. 12 tysięcy zwiedzających. Trzecha było zaangażować dodatkowych przewodników.

KIELCE

Badania archeologiczne, przeprowadzone na Grodzie Górze w Tumlinie przez mgr B. Kowalczyk z Muzeum Świętokrzyskiego wykazały, że w XI wieku istniało tam miejsce kultu pogańskiego.

Tegoroczne Dni Folkloru Opoczyńskiego połączone były z Wojewódzkim Zjazdem Opiekunów Społecznych nad zabytkami.

W Radomiu uruchomiono punkt konsultacyjny Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, którym kieruje dr Adam Korzyński.

Ponad 500 m lochów i korzystać podziemnych zasypało już w Sandomeżu. W sierpniu górnicze będą trwały także w okresie zimowym.

Wystawa-kiermaszem sztuki ludowej rozpoczęły się 13 września Świętokrzyskie Dni Kultury. Po raz pierwszy odbył się w ramach Dni festiwal filmów dokumentalnych.

W dniach 7-9 września odbyło się w Przemyślu sympozjum naukowe na temat turystycznego zagospodarowania ziem górskich województwa. Referaty wygłosił kierownik Woj. Pracowni Planów Regionalnych mgr Tadeusz Madziński oraz prof. dr Walery Goetel.

16 września sprzedawcy Ruchu na Rzeszowszczyźnie obchodzili Dzień Kolporterów. W województwie jest 730 kolporterów, sprzedają oni w ciągu roku ponad 56 mln egzemplarzy dzienników i czasopism.

W Rzeszowie przy ul. Słowackiego otwarto pierwszą w województwie księgarnię muzyczną. Będzie ona także współpracowała z WDK, udostępniając mu najnowsze nagrania płytowe.

Ukazal się i tom Biblioteki Przemyskiej pt. „Przemysł w starożytności i średniowieczu”, zawierający opracowania A. Kunyza i Fr. Persowskiego. Wydawcą jest Przemyski Tow. Przyjaciół Nauk oraz krakowski oddział PAN.

Gorlickie Zakłady Przemysłu Drzewnego „Forest” utworzyły pracownię plastyczną, która projektuje nowe wzory artykułów gospodarstwa domowego.

Nie tylko uzdrowisko

(Dokończenie ze str. 8)

sanatorium zaczęły w czynnie społecznym wykonywać wykop w lutym, potem władze wojewódzkie dołożyły trochę pieniędzy, no i w lipcu basen był już gotowy. A przy basenie kawiarnia, szatnia, garderoby i natryski. 230-tysięczny Lublin może tylko pozazdrościć. Piszę: pracownicy PP Uzdrawiska. Jest to grono niemałe: łącznie z personelem zatrudnionym w Solcu i w gospodarstwie rolnym przedsiębiorstwa — 850 osób.

Nie dysponuję danymi dotyczącymi ogólnej liczby osób zatrudnionych we wszystkich sanatoriach. Oprócz bowiem obiektów PP Uzdrawiska w Busku znajduje się sanatorium MSW o 120 łóżkach, sanatorium WP o około 100 łóżkach i dom FWP z sezonowymi czasami leczniczymi (około 200 łóżek). Zarówno kuracjusze z tych domów jak i osoby mieszkające prywatnie korzystają z leczenia sanatoryjnego w obiektach PP Uzdrawiska. Oblicza się, że w pełni sezonu w Busku przebywa jednocześnie, we wszystkich placówkach łącznie, około 2 tys. kuracjuszy. Dr Edward Henczel, naczelny lekarz PP Uzdrawiska, oświadczył, że przedsiębiorstwo przy pewnych nakładach inwestycyjnych jest w stanie zapewnić zabiegi lecznicze znacznie większej liczbie osób. Tymczasem wczesny sezon jest tak wyposażona, że mogą być wykorzystywane tylko latem.

W Busku leczy się choroby gołocowe, neurologiczne, skórne, pourazowe, choroby przemiany materii, choroby kobiece, brucellozę i choroby górnych dróg oddechowych. Naturalne zasoby lecznicze to woda siarczano-słona o temperaturze 28-30 stopni, woda jodowobromowa i borowina. Amatorów na kurowanie się nie brakuje. Związek Spółdzielni Inwalidów wznosi już obiekt o 150 łóżkach, CRZZ ma zamiar zbudować sanatorium o 550 łóżkach, wyposażone w kryty basen rehabilitacyjny (pierwszą część kosztów 110 mln zł buduje Związek Zawodowy Włóknarzy). DOKP Lublin otrzymała lokalizację na sanatorium o 254 łóżkach. Kolejarze zajęli teren w roku 1937, lecz do tej pory nie rozpoczęli robót. Dopiero teraz, zdopinguowani przez dyrekcję PP Uzdrawiska, zobowiązali się w roku przyszłym przystąpić do wykopów. Jeśli nie zrobią tego... amatorów na przynajmniej im teren nie brakuje.

Ten pęd do budowy własnych sanatoriów przez różne instytucje i przed-

siębiorstwa, z jednej strony cieszący, odzwierciedlający tę coraz większą u nas troskę o zdrowie obywatela, ma swoje minusowe strony. Dla czego nie będą kolejne sanatoria Państwowego Przedsiębiorstwa Uzdrawiska, lecz własności innych placówek społecznych? We wszystkich sanatoriach PP Uzdrawiska utrzymamy jednakowy standard wyposażenia wnętrza, jednakowe nakłady na działalność kulturalno-rozrywkową, jednakowy standard wyżywienia. W sanatoriach przedsiębiorstw i związków poziom ten zależy jest od możliwości właściciela obiektu. Obiekty PP Uzdrawiska mieszczą się w pięknym parku, dostępnym dla wszystkich. Przechodzą tam na spacer i osoby przebywające w innych sanatoriach. Przepisy mówią, że naczelnik kuracjusza wypadają musi odpowiednia ilość metrów kwadratowych zieleni. Nowe sanatoria nie powiększą jednak buskiego parku. Ogrodzą się — jak to obecnie istniejące zakładowe — zamkniętą. Dochodzi więc do tego, że kuracjusz o gorszym stanie zdrowia, lecz pracujący w bliździejszej uposażonej instytucji, może mieć gorsze warunki kuracji, niż człowiek o lepszym stanie zdrowia, pracujący również w uposażonej, ale bogatszej instytucji. Jest to jednak całkowicie sprzeczne z podstawowymi założeniami naszego ustroju i zasługuje na ostre napiętnowanie. Działalce związkowi i społeczni, chcący wykazać się przed swymi wyborcami troską o ich interesy zdrowotne, mogą wziąć przykład ze Związku Zawodowego Pracowników Rolnictwa. Związek ten wyasygnował poważne fundusze na przebudowę i wyposażenie sanatorium w Solcu-Zdroju. Do sanatorium tego przyznawani są kuracjusze ze skierowaniami wydanymi przez ten związek, lecz ich późniejszy pobyt i leczenie nie różniła się niczym od warunków, jakie mają inni kuracjusze. Tak czy owak plany rozbudowy uzdrawiska są porażające. Na razie jednak w PTTK rozkładano beznadziejnie ręce, gdy prosilom o pokój, zaś i sekretarz KP PZPR, Stefan Sikora, mówił mi, że powiat przede wszystkim liczy na rozwój przemysłu, jest to bowiem właściwie jedyna możliwość popędzenia bytu miejscowej ludności. Sam zaś rozwój uzdrawiska zasadniczego wpływu na stopę życiową mieć nie będzie.

W „Irenie”, malej prywatnej cukierkierce, gdzie na oczach gości produkują świetne rurki z kremem, kilku starszych panów opowiadało mi, jak długo musieli czekać na skierowania do sanatorium. Białali, że z tylu gmachów wzniesionych w ostatnich latach w Busku tak niewiele przypadło na obiekty lecznicze.

I buskowiakom i kuracjusze mają swoje racje. Plany rozwoju Buska muszą więc uwzględnić racje obu stron.

Romuald Wiśniewski



WIELE atramentu wypisał publicyści na temat zaniku prowincji i upadku rozmaitych oplotków, które odgradzają wieś od szerokiego świata. Ale z tymi sprawami jest trochę tak, jak z mityczną hydrą: znieść się jedną głowę, wyrastają inne. Nigdy z nią walki zakończyć nie można. Wracając do tematu: można pisać o szybkich postępach w upowszechnianiu dóbr kulturalnych, ale wiadomo, jak nierównymi falami rozchodzą się one po kraju. Dla przykładu: sytuacja wiejskich kin. W „NADODRZU” Andrzej K. Waśkiewicz w artykule „Najlepsze są te male kina” pisze o pracy kin wiejskich w województwie zielonogórskim, które zresztą jest w krajowej czołówce jeśli chodzi o sieć kin. Stan kin wiejskich przedstawia się i tu jednak bardzo źle, a uposażenie ich do złych lokalii się nie ogranicza.

Pięta achillesowa jest repertuar. W kinach wiejskich o aparaturze wąskotaśmowej widz miejscowy może obejrzeć najwyżej półowę zakupionych filmów. Ale nawet, gdy znajduje się i szeroki ekran, to do wiejskiego kina przychodzi kopia na końcu, często zdarta i zupełnie nieużyteczna. To zniechęca widza wiejskiego, który niekiedy ten film wcześniej jeszcze ogląda w telewizji. Waśkiewicz cytuje opinię, że frekwencja w kinach wiejskich jest proporcjonalna do liczby filmów panoramicznych. Przeciwny natomiast repertuar rozmią się z gustami tego widza, bowiem — chociaż filmy są wysokiej wartości ideowej — lekceważą upodobania publiczności.

Tu nie chodzi o to, by im schlebiać, ale by utrzymać rozsądną proporcję między obrazami rozrywkowymi i „poważnymi” (...) Kino jest wprowadzić ośrodkiem oddziaływającym wychowawczo, ale jest także rozrywką. Ostatecznie trudno wymagać, aby widz wiejski, nie najlepiej przecież przyciętany do odbioru wartości kulturowych, karmiony był repertuarem trudnym, wymagającym określonej wiedzy. Jeśli z wartościami artystycznymi i ideowymi nie będą się zbiegali walory widowiskowe, przy wzrastającej liczbie telewizorów, to konkurencja kino — telewizja skończy się przegraną kina.

Czy propozycja autora, wprowadzona w życie, nie dawałaby pokus łatwizny i honorowałaby te niższe gusty, to sprawa dyskusji. Natomiast potrzeba mądrej i dalekowzrocznej gospodarki w kinie wiejskim takiej dyskusji nie podlega.

Jeśli już jesteśmy przy sprawach białego ekranu, to warto wysłuchać opinii „TYGODNIKA KULTURALNEGO”, który piórem Haliny Dudowej zajął się sprawą dyskusyjnych klubów filmowych. Ta pięknie rozwinięta forma upowszechniania kultury filmowej przeżywa kryzys i natrafia na różne przeszkody. Do niedawna np. DKF-y miały monopol na wyświetlanie pewnych filmów, które nie trafiały na normalne ekrany. Ten pozytywny raczej monopol zlamala telewizja, a kluby filmowe straciły coś, co stanowiło atrakcję i przyciągało ludzi.

Nowym zagrożeniem dla DKF-ów są tzw. kina studyjne, gdzie widz przed projekcją wysłuchuje prelekcji na temat filmu, ale nie ma już

przewidzianej dyskusji, jak w DKF-ach. Kina studyjne oparte są o sieć państwową, natomiast DKF-y z trudem uzyskują dla siebie gościny. Czy jednak dylemat: „z dyskusją czy bez”, który znajduje się w tytule artykułu, jest prawdziwy, a w każdym razie trudny do rozwiązania? Autorka widzi rzecz następująco:

Byłoby ze społecznym pożytkiem, gdyby właśnie przy kinach studyjnych powstawały dyskusyjne kluby filmowe. Dyskusyjny klub filmowy byłby czynnikiem utrwalającym wychowawcze osiągnięcia kina studyjnego, dalszym logicznym rozwinięciem takiego kina. Dobrze jest bowiem, gdy widz jest skłonny wysłuchać prelekcji, która ułatwi mu percepcję filmu, lepiej, gdy ma na temat filmu własne zdanie i jest gotów zdanie to wyrazić, ale najlepiej — gdy film skłonił go do pogłębienia swojej wiedzy o świecie i do działania społecznego w dziedzinie popularyzacji wartości sztuce filmowej właściwych.

W „WIDOKRĘGACH” Jan Grygiel zajął się natomiast tematem, który niesłychanie rzadko gości na łamach pism społeczno-kulturalnych a jego waga nie podlega dyskusji. W artykule „Wysokozostać szanse” autor omówił działalność gazet zakładowych województwa rzeszowskiego. Pełnią one rolę poważną, ale — zdaniem Grygiela — mogłyby odgrywać jeszcze większą, gdyby wzbogaciły informacje o pracy kulturalnej w swolch zakładach i więcej uwagi poświęcały sprawom kulturalnym.

T. K.

Radiowe jubileusze

We wrześniu Rozgłośnie Polskiego Radia w Lublinie i w Kielcach kończą 15 lat. Okres niby niezbyt długi, ale przecież pełen poświęceń i niełatwej pracy naszych Koleżanek i Kolegów po piórze, a także współpracujących z nimi pracowników technicznych.

Jubileum, z których wielu jest również naszymi współpracownikami, serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia na przyszłość. Mamy nadzieję, że w niedługim czasie pracy radiowców będziemy mogli poświęcić obszerniejszy materiał.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Biełski, Jerzy Dostalni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aljeja Racławskie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencje prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131 Zam. 3102 8.09.87. P-6

„MAZEPA”

(Dokończenie ze str. 8)

Na czoło tej grupy wysunął się Aleksander Iwaniec w roli tytułowej. Później przeszedł, że gdy się go raz zobaczyło w tej roli, ma się ochotę pójść na „Mazepę” jeszcze i jeszcze. Odtworzył on cały wieciek postaci płochocego pazika przemienającego się w ryceza bez skazy a bez afektacji.

Prawde powiedziawszy, zawsze mnie drażniły słowa Amelli w scenie ze Zbigniewem: „Jaka plama dla mojej czystej duszy tak z waćpanem gadać. Jak gdybym rozumiała...”.

Ostatecznie Amella, będąc żoną pełnego namiętności Wojewody, musiała być poniekąd świadoma różnych spraw matrymonialnych. Toteż sądzi, że słusznie gra Amelie Irena Olecka kładąc nacisk nie tyle na „niewierność”, „nieskazitłość” (choćby po trosze wbrew życzeniu Słowackiego), ile na zaszczenie — bardzo poetyckie.

Niezupełnie udatnym Zbigniewem był, niestety, Piotr Sowiński. Zdaje się, nie odpowiadał mu ta postać.

W pozostałych rolach i epizodach obsadził Maria Kącka w rolę Kasi (Kasztelanowa), Włodzimierz Władysław w rolę Chmara, Stanisława Stojkę (Chrzastka), Witolda Zarychcie (Książka i Goniec). Skróty używaliśmy z nich raczej sztafaż.

Scenografia Jerzego Torzeńczyka, oczywiście syntetyczna, mniej mi się podobała od dawnej. Przede wszystkim

kim monumentalne schody, które wówczas zaprojektował, dawały wspaniały efekt w pojedynku Zbigniewa z Mazepą. Poza tym obecnie wprowadzone cztery świecące się zbroje (prawdopodobnie symbol przestarzałego pojęcia honoru) niecierpliwia widza swoją natrętą wszechobecnością. Kostiumy też charakteryzują ekscytyzm — może zresztą spowodowany względami oszczędnościowymi.

Natomiast opracowanie dźwiękowe Stanisława Pawlika, oparte na Tabulaturze Jana z Lublina, jest jednym z waleńców inscenizacji.

Mimo wysuniętych tu i ówdzie zastrzeżeń uważam nowy spektakl „Mazepa” za bardzo kulturalny i angażujący uczuciowo.

Maria Bechzyce-Rudnicka

Czołganie się, zryw czy sprint?

(Dokończenie ze str. 3)

ty możliwie największą sumę wiedzy. Ale młodzież musi chcieć to odebrać. Mówiono tu o napięciu, w jakim młody człowiek rozpoczyna studia. Myślę, że dobre słowo, uśmiech, zachęta mogą tu dużo zrobić na samym początku. Zwłaszcza wobec tych najbardziej onieśmiałonych, którzy przychodzą ze środowisk robotniczych i chłopieckich. Stwierdziłam to wielokrotnie.

Dr KOMOROWSKI: — Mieliszmi nie mówić o szkole średniej, więc tylko jedno zdanie. Wyższe uczelnie

narzekają na poziom jej absolwentów, ale przecież pamiętajmy, że tylko piąta część idzie na wyższe studia, a cztery piąte do pracy i to w najtrudniejszych dziedzinach, więc nie wymagamy doskonałego przygotowania do studiów.

R. DUL: — Narzekano tu, że studenci i roku nie zgłaszają się, gdy żąda się od nich odpowiedzi na terminy egzaminów. Ale przecież my na I roku nie mamy pojęcia, ile czasu będzie wymagało przygotowanie się do tego czy innego egzaminu. Myślę, że powinniśmy nam w tym pomóc starsi koledzy, może przez ZSP lub ZMS.

Dr KOMOROWSKI: — Jeszcze słówko o stypendiach. Powinno się je dawać za wyniki nauki, a nie — jak to bywa — za morgi, niekiedy fikcyjne, chociaż potwierdzone.

KILKA GŁOSÓW: — To jednak uniemożliwiliby wielu studiowanie, chociaż rzeczywście kryterium majątkowe nie powinno być jedynym.

Inż. KRZYWICKI: — Dziękujemy „Kamena” za inicjatywę. Wydaje mi się, że ta rozmowa i nam dostarczy materiału do przemyslenia, a po opublikowaniu może stanowić przedmiot dalszych dyskusji w naszych środowiskach. Przysłać się również listy, którzy właśnie rozpoczynają żywot studenta.

OD REDAKCJI: — Czekamy na listy wykładawców i studentów w omawianej sprawie. Ciekawe głosy wydrukujemy.

# Z ŻYCIA WZIĘTE

## Moda po polsku(?)

**W**YSOKI Sądzie! Przynajnie się do winy. Popłynięciem ciężkie przepiętostwo i chęć do odpokutowania. Zanim jednak Szanowny Sędziowie wydacie skazujący wyrok, pozwólcie mi w ostatnim słowie wyjaśnić motywy mego zbrodni.

Zgubiła mnie moda. Ściśle mówiąc — jedna pani, która piase w gazetach poradą pod tytułem MODA. Ta pani niedługo już raz wywoływała burzę w moim poetyckim małym świecie. Powodem kilka razy nocowałem na schodach, zaniedbałem się w pracy i podpadłem na zdrowiu. Nie wiem, ile tej pani płacę w gazetce za jej poradę, mnie to jednak kosztuje bardzo drogo. Dopóki mieliśmy oszczędności, znowa mogła dostosowywać się do rad tej pani i zmieniać co tydzień swoją garderobę. Ale pewnego dnia na naszej księżeczce PKO zostało 3 złotych. Rozpo-

częło się „śladki życie”. Co sobotę znowu podtykała mi pod nos gazetę z kącikiem Mody i krzyknęła: przeczytaj, co powłina nosi! szanująca się kobieta! A ja rozkładalem bezradnie ręce i pytałem: A czy ta pani nie pisze czasem, skąd na to wzięła pieniądze? Wysoki Sąd może sobie wyobrazić reakcję kobiety na taką odpowiedź. Sędziowie zamiast tapczana pogotowie ratunkowe i MO. Z każdej soboty było gorzej, powoli małżeństwo zaczęło zamieniać się w piekło.

**Wysoki Sądzie!**  
Dziś już wiadomo, że ilość przechodzi w jakość. Nadeszła kolejna sobota. Jak zwykle przyszedłem z pracy. Już na progu spostrzegłem, że stało się coś niedobrego. Hozajrzałem się. Na środku pokoju stała znowu, w którą trzymała sobotni numer gazetki. Kolana ugięły się pod nią.  
— Masz — rzekła lodowatym głosem — czytaj!  
— Nie dobrać — pomyślałem. Przed oczyma zaczęły mi tańczyć litery. Znowa zaczęła mi przyciskać kącik Mody. Powoli zaczęłam rozróżniać poszczególne słowa.

...a zatem ogólnie modne są paski noszone bardzo nisko i bardzo luźno (nigdy w tali). Znacznie mniej będzie przy odzieży damskiej błyskawicznych zamków, zastępują je guziki często złote lub z imitacji sztykretu (jako że szalenie modny jest brąz). Poniczoży tej jesieni i zimy koordynowane są głównie z obuwiami, nosząc nie je będzie głównie w czarnym i brązowym kolorze. Modne są nakładane na suknie tuniki w odmiennym kolorze i zawsze bardzo krótkie, albo znacznie dłuższe od sukni (wtedy

z czegoś przedroczytano: sztywno lub korekty. Idealny to sposób by odmienić starą sukienkę. Główni są zdecydowanie niemodne, natomiast bardzo modne są kostiumy z kamizelką w odmiennym kolorze. Pośladki walczyły suknie dwuczęściowe albo przelotnie na prostą suknię, albo potraktujemy je jak kostium i sprawimy sobie jakąś twarzową w modnym kolorze kamizelkę...  
**Wysokie Sądzie!**  
Czułem, jak robi mi się słabo. Znałem moją żonę, mogłem więc przypuszczać, że za tą lekturą kryje się ciekawa niespodzianka.  
— Czytaj dalej — usłyszałem jej głos, Cytalem.

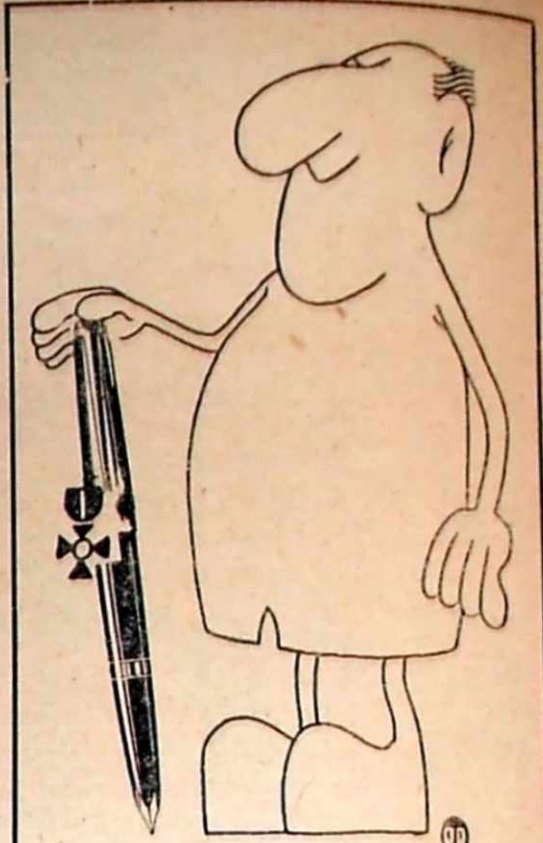
...Jesienne torebki wzorowane są na torbach myśliwskich lub konduktorskich. Uczesanie na odcień — to przeważnie krótkie, proste włosy. Na wieczór sięgają się do tyłu i albo dopina rozstrzępany kok z loków, albo przyczepia grzebykami nad uszami kręte kędziorki (jedną lub dwa najwyżej). Wszystkie naszyjniki z kamieniami, pereł itp. odcinamy na kilka miesięcy. Nowa moda skazała je całkowicie na banieję. Na co dzień nosić będziemy klipsy w kształcie kwadratów lub okrągłych guzików, zawsze pod kolor ubioru i bransoletki z tej samej co klipsy masy. Na wieczór klipsy wiszące, ale także pod kolor. Jeśli naszyjnik — to wyłącznie metalową obręcz w stylu afrykańskim...  
— Dość — zakomenderowała żona. — A teraz słuchaj uważnie. Tu, w tym worku, leży cała szaryzna, w jakiej kazałem mi dotąd chodzić. Wyrzućłam wszystkie garsonki, które, jak wiesz, są

zdecydowanie niemodne, wszystkie podeszoły, odprutym bryskawicze zamki, wrzuciłam tam te — pożałuj Boże — buty. Jeśli chcesz sobie zastrzygnąć perły i kamienie, to proszę bardzo. Ale pamiętaj, że skazane zostały na całkowitą banieję. Tyje, jeśli idzie o porządki. Jak widzisz, nie mam dostojnie nie do włożenia. Potrzebuję więc forsy na to, w czym normalna kobieta może się pokazać na ulicy. Przeczytałem, więc już wiesz: trzy kostiumy z kamizelkami w odmiennym kolorze; może być niebieski, czerwony i lila-róż. Komplet butów i parę par zharmonizowanych z nimi pancerzy. Kilkanaście metrów sztywno na tuniki, sztywny kok do włosów, komplet klipsów i parę innych drobniactw. Poza tym obowiązkowa dwie metalowe obręcze w stylu afrykańskim. Razem... no, powiedzmy: 20 tysięcy złotych.

**Wysokie Sądzie!**  
Dziś już nie pamiętam szczegółów, ale przypominam sobie, że nie nie powiedziałem, tylko włożyłem gazetę do kieszeni i wyszedłem z domu. Nie wiem, w jaki sposób obrabowałem bank na sąsiedniej ulicy. Zdaje się, że po godzinie przyszedłem do domu, otworzyłem walizkę pełną banknotów i rzuciłem je pod nogi żony. A potem kazałem jej znieść gazetę z kącikiem Mody. Kiedy to uczyniła, zadrwniełem po pogotowie ratunkowe i MO. Pogotowie zabralo żonę, MO mnie.

**Wysoki Sądzie!**  
Nie mam nic więcej do powiedzenia. Proszę o łagodny wymiar kary.

BAR



Złote pióro

Rys. W. Fuglewica

### Z cyklu „Moje deklinacje”

## Kupujcie cukierki

**B**YLA północ. Dość niespodziewanie na moim balkonie (trzeci piętro) pojawił się dyrektor fabryki cukierków — Jeśli macie pocałować się trzeci raz, lepiej zjeść cukierka — powiedział wyciągając z torby wymiętą „krowkę”.  
Od tygodnia nasze miasto było zatrute wylęciami z sąsiedniej cukrowni.  
— Czy to takie przyjemne? — zapytałem. — I w ogóle skąd się pan tutaj wziął?  
— Rozumiem pana — odrzekł z prostotą. — Kiedy zbliża się zagłada świata, zazwyczaj pojawiają się krowki, epileptycy, świastuni lub wydrwigrosze. Moja postać więc musi zdeminić. Zwłaszcza o tak niezwykłej porze. Ale to wynika z rachunku ekonomicznego.  
Zrobił krótki wykład na temat opłacalności reklamy.  
— Zwłaszcza północ to godzina bardzo sprzyjająca. Regularnie korzystamy z długolętniej tradycji. Od wieków panuje zwyczaj, że o tej porze ukazują się romantyczne duchy kłajają, hetmanów lub ich kochanek. Pojawienie się dyrektora fabryki cukierków musi wywoływać szok. A o to nam chodzi. Latwo wtedy przegapić nawet wady opakowania. A z tym nie jest u nas najlepiej — przyznał ze skromnością.  
— Bardzo to pięknie zostało wyłożone — rzekłem. — Ale na początku powiedział pan coś o bliskiej zagładzie świata. Nie takiego, żadnych nawet znaków nie spostrzegłem.  
— Czyż nie wie pan — odpowiedział — że trzeci pocałunek jest zagładą pierwszego?  
Kupiłem kilogram cukierków.  
Janusz Danielak

# BIG-BEAT

## Śmiać się czy płakać?

**P**ANIE Redaktorze! Dzielącyna była niewiele starsza ode mnie. Poznałem ją w pociągu. Gadu, gadu: okazało się, że studiuję filologię rosyjską na Uniwersytecie Łódzkim. Aby znaleźć się na trzecim roku, musiał zdać jeszcze dwa egzaminy. Twierdziła, że sobie poradzi (choć „kto może wiedzieć”), bo w czasie ostatnich trzech tygodni kula solidnie.  
Rozmowa nie kleiła się zbytnio. Miałem przy sobie dwa zbiorki wierszy w celofanowej okładce z serii PIW-u. Autorzy: Sergiusz Jesienin i Aleksander Blok.  
— Widziała pani te książeczki? — zapytałem.

Przecząco pokiwala głową.  
— Pani to dobrze — powiedziałam. — Może pani bez trudu czytała Błoka i Jesienina w oryginale.  
— A nie wiem. Jeszcześmy nie przerabiali. Chyba dopiero na czwartym roku...  
— Ale musiała pani spotkać się z ich poezją?  
— Mówię panu, że dopiero na czwartym roku. A ten Blok i Jesienin to współcześni poeci? Zyją?  
— Rece mi opadły. Jak się po chwili okazało, moja przystojna znajoma, studentka — podkreśliłam — już prawie III roku filologii rosyjskiej, nie słyszała też o Jewtuszenzie i Wozniezienskim. Z poetów rosyjskich wymieniła mi jedynie Puszkina i Lermontowa, z poetów radzieckich — Majakowskiego, Konieck. Kropka. Nie wiedziałam: śmiać się czy płakać?  
Iwona jest znów młodsza ode mnie. W tym roku szkolnym uczęszcza do XI klasy. Z historii przerabiała właśnie rewolucję lutową w Rosji. Kiedy zapytałem ją o rok 1905, odpowiedziała: „A już nie pamiętam. To przerabialiśmy w IX klasie”.  
W związku z wizytą de Gaulle'a napomknęłam o aktualnej sytuacji międzynarodowej. Iwona zadała mi zaskakujące pytanie:  
— Co najpierw powstało w 1945 roku: NRF czy NRD?

Iwona ma w domu telewizor. Nie myli się wymieniając nazwiska laureatów tegorocznego festiwalu w Sopocie. Bez trudu poznaje nawet mniej znanych aktorów, mimo ich najlepszej charakterystyki. Wie, kto jest mężem Edyty Wojtczak, zna wiele ciekawostek z prywatnego życia amerykańskich gwiazd filmowych, wśród swych koleżanek i kolegów ma opinię „klawej”, podobnie nieźle radzi sobie w szkole. W prywatnej rozmowie o „Chłapach” Reymonta mówi jednak „chłala”.  
Słucham i nie wiem: śmiać się czy płakać?  
Synek sąsiada ma lat jedenaście, zdął do czwartej klasy. Czasem oglądamy wspólnie telewizję. Nie omiada żadnego dziennika, specjalnie lubi „Moiłor”.  
— O — wola — widzi pan? Już Malcużyński wrócił z Japonii!  
— Panie Jacku — pyta — dlaczego Bumied nie pojechał do Chartum?  
— O jakim układzie radzą w Genewie? Co to jest ta niepro... niepreferencja czy jak tam?  
Jedenastoletni chłopak wymienił mi bezbiednie nazwiska ministrow spraw zagranicznych: Polski, ZSRR, NRF, Stanów Zjednoczonych, Francji, stolicę prawie wszystkich krajów europejskich (miał trudności z Irlandią i Szwajcarią, w tym ostatnim wypadku

Jacek

# FELIETON Z REZERWY

## Film i życie

**O**GLĄDALEM niedawno cuderkowaty film amerykański zatytułowany bodaj „Nie przysyłać mi kwiatów” (jeśli się pomyliłem, to i tak nie warto prostować). Z trudem wytrwałem do końca sensu, a jeśli nie wyszedłem w połowie to tylko dlatego, że siedziałem w samym środku i musiałbym kilkanaście osób prosić o udostępnienie przejścia. Obok mnie znajdowała się młoda para, która nieustannie komentowała poszczególne scenki. „Popatrz, a le żyją w tej Ameryce...”, „Widziałeś, jak cudownie urządzone mieszkanie...”, „Co za maszyna...” Początkowo to mnie bawiło, później zaczęło denerwować. Ostentacyjnie każdy z nas wie, że USA od czasów starci Północy z Południem nie przeżyły na swym

terytorium działań wojennych, a jeśli później walczyły to i tak zyskiwały na tym finansowo. Współcześni Lincolnowi dawno już wymarli, podczas gdy między Bugiem a Odrą znajdują się wielu obywateli, którzy dobrze pamiętają i pierwszą i drugą wojnę światową, którzy i w pierwszej i w drugiej utracili cały swój dobytek, na ogół zresztą bardzo lichy. Każdy z nas o tym wie, ale znowo jest rzeczka ludzka, tożż wlaście owe zachwyty czedka pary, która może dopiero czeka na mieszkanie M-1 czy M-2 albo go i planować nie musi, jako że spotkanie w kinie uważa za epizod, specjalnie mnie dziwić nie powinny.  
Film jest jednak filmem, często też spełnia rolę propagandową, przedstawiając pewien styl życia, nawet w bogatych USA nie dla wszystkich dostępny. Ostatnia rewolwa murzyńska uanozcniła światu inne oblicze Stanów Zjednoczonych. Ale upośledzeni mieszkańcy USA to nie tylko Murzyni.  
Oto niedawno dr Cleo W. Blackburn, dyrektor tzw. Komisji Oświaty Elementarnej z siedzibą w Indianapolis, wygłosił przemówienie o konieczności walki z ubóstwem w USA. Przemówienie to znalazło się później w wydawnictwie Kongresu „Congressional Record”, a więc nikt z oficjalnych

czynników nie podważał prawdziwości faktów.  
Jak więc wynika ze wspomnianego przemówienia, ponad 10 milionów osób dorosłych i starszej młodzieży w USA nie umie czytać, pisać i rachować na poziomie, który umożliwiałby im istnienie w dzisiejszym społeczeństwie. Nie potrafi więc czytać gazet, odczytywać ulicznych napisów, nie potrafi pisać listów, wypełniać kwestionariuszy i podań, przedkładać sprawozdań ani podawać się testom.  
Dajej ponad 60 milionów dorosłych obywateli USA nie ukończyły szkoły średniej, a ponad 22 miliony ukończyło mniej, aniżeli 8 klas szkoły podstawowej. Większość spośród tych osób nie osiąga nigdy wyższego poziomu, aniżeli ten, na którym rozpoczynają pracę. W miarę jak wzrastają koszty utrzymania, a w zatrudnieniu tych robotników trwa stan stagnacji, stopa życiowa ich rodzin stale obniża się. Wielu ojców opuszcza rodziny nie chcąc pozostawać w upokarzającej sytuacji ojca drugiej kategorii.  
W całym kraju dalej cytuje — istnieje pilna potrzeba lepszej służby zdrowia. Zaobserwować można jaskrawą współzależność między określoną grupą lub dochodem w przeliczeniu na jednego mieszkańca danego rejonu a śmiertelnością niemowląt oraz

przeciętną długością życia. Stan Masajgi ma np. najniższy dochód w przeliczeniu na jednego mieszkańca i najwyższą śmiertelność niemowląt — 40 promille, to jest o 60 proc. wyższą, aniżeli przeciętna w skali ogólnokrajowej. Śmiertelność niemowląt w Harlemie wynosi 42 promille.  
„Dla tych miast — stwierdza dr Cleo W. Blackburn — bije godzina śmierci... Rozpadają się całe dzielnice, a ich mieszkańcy popadają w rozpacz. Marzenia tych ludzi rozwiewają się, nadzieje nikną i nie licząc już na nie ludzkie zwinają absolutnie żadnego zwinzku z miastem, ani się marzą już o wnieśieniu swego wkładu do jego losów, ani też o korzyściach i awansie w zamian za swe wysiłki. Wyniki tego stanu rzeczy znajdują odbicie w pożarach, w strzelaninie, w zabójstwach, co przynosi niepowetowaną szkodę godności miasta i wzajemnym stosunkom rozwarstwionej ludności w kilkudziesięciu miastach naszego kraju”.  
Podobnych głosów mógłbym przytoczyć więcej. Wątpię jednak, czy młoda para moich kinowych sąsiadów czyta „Kamienie”. I czy wogóle coś czyta poza napisami na srebrnym ekranie?

KIER

# NOTY I MOKI

**N**AWIAZUJĄC DO ANKIETY „Argumentów”, krakowski „Zwycięca literacki” („Życie Literackie” z 10 września) pisze o marzeniach studentów prawa na temat służby dyplomatycznej, opatrząc notatkę tytułem „Dyplomatyka”. Owzajem — brzmienie podobne, ale warto zaznaczyć się z różnicą pomiędzy pojęciami koń i koniak.

**M**ALY FORMAT GAZETY zmusza kolegów z „Gazety Białostockiej” do dużej oszczędności słowa — ale nie przesadzajmy. W nr. 299 cała informacja wyglądała tak: „Amerykańscy pływacy ustanowili kolejne dwa rekordy świata”. Proponujemy na przyszłość takie intrygujące wiadomości: w Kosmosie wydarzyły się trzy ciekawy sprawy... w Japonii umarły cztery kolejne osoby...  
**TR**YBUNA LUDU zaczyna się specjalizować w nowotworach językowych. W nr. 249 przeczytaliśmy, że „Semiót „trójkoży” podczas Spartakiady”. Jeszcze tym razem potworek został opatrzone cudzysłowem, ale to się zwykle tak zaczyna, że nigdy nie wiesz, jak i gdzie zgubi się ów cudzysłów.

**B**IAŁOSTOCKIE „SPOLEM” i ZSS ogłosiły konkurs pod hasłem: „Kobieta w domu i w pracy”. Jak głosi regulamin, celem konkursu było „przekonanie kobiet o konieczności dbania o swój codzienny wygląd od wczesnych godzin rannych aż do wieczora”. Proponujemy organizatorom, aby byli mniej pruderyjni i rozszerzyli konkurs także na godziny nocne.

**J**AK DOBRZE POJDZIE, będzie arcyciekawy proces. Gdy w warszawskiej kawiarni „Nowy Świat” p. Iga Cembrzyńska odpiewała „Tango Milonga” jakiś starszy pan z widowni wręczył jej publicznie „sągraniężny środek płatniczy”. Tak to określili konferansjer, który potem dopytywał się z estrady: „czy to jest dużo”. Ofiarodawcą okazał się kompozytor piosenki Jerzy Petersburski, który po 36 latach przyjechał z Argentyny i przesiadł aktorze na banknotcie własny autograf. Zrobiła się z tego cała polemika w „Życiu Warszawy”. Do sporu przyłączył się zapewne dyrektor argentyńskiego banku emisyjnego, uważając, że na banknotcie wartości 100 pesos (około 12 zł); wystarczy tylko jego podpis.

**W** INNYM NUMERZE „Trybuny Ludu” (251) w informacji „Gaudeamus igitur w Cyrkowej Szkole” znaleźliśmy takie zdanie: „Potem inauguracyjnego roku akademickiego przeniosła się na arenę, gdzie ci sami młodzi ludzie wskakiwali na konie i stawiali im głowę na zadzie”. Nie wystarczyło doktorowi od palanta, będzie pewnie docent od wotyżerki.

**P**ONIEWAŻ KILKA ULIC w Lublinie nie posiada jeszcze nazw, „Kurier Lubelski” ogłosił ankietę, a potem kilkadziesiąt nazw, proponowanych przez czytelników. Jak dobrze pójdzie będziemy mieli zgodnie z propozycjami — ulicę Niespełnionych Snów obok ulicy Siedmiolatków. Może jednak tę ostatnią zamienić na ulicę Szesdziesiąciolatków? W tym wieku przecież sny spełniają się znacznie rzadziej...

**C**O TO JEST ANEGDOTA? Bardzo wątpiliśmy w to, czego nas uczono w szkole i co można przeczytać w słowniku językowym. Po przeczytaniu wywiadu Danuty Gudebskiej w „Standardzie Ludu” (nr 213): „Fabuła jest prościutka — jakikolwiek pan po pracy wyjeżdża samochodem za miasto i tam w wozie umiera na serce. Anegdota jest tutaj pretekstem do eksperymentalnych ujęć”. Jeżeli te eksperymentalne ujęcia będą analogiczne do eksperymentalnej „anegdoty”, autor filmiku (student PWSTIF) ma gwarantowaną dwoję.

## W następnych numerach piszą:

Juliusz Willaume o Tadeuszu Kościuszcze w związku z 150-leciem śmierci Naczelnika. (Szkieł powinien szczególnie zainteresować młodzież szkolną).  
Cezary Pawłowski, dyrektor Instytutu Radowego w Warszawie, o Marii Skłodowskiej-Curie.  
Eugeniusz Wachowiak o współczesnej poezji NRD. Przekłady wierszy.  
Wojciech Jankowerny o kulturze w Monach.  
Feliks Kanclerz o nowoczesnej konserwacji zabytków.  
Leszek Wyrwicz o niezwykłej historii odnalezienia gruzińskiego partyzanta z Kielecczyzny, którego uznano za zaginionego.  
Ponadto dalsze wypowiedzi w ankiecie: „50 lat literatury radzieckiej”, wkładka „Ziemia i Pieśń”, materiały poświęcone II Międzynarodowej Kampanii Muzealnej, prezentacja poezji australijskiej.